ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 2(15) • Luty 2007 • Cena 2,00 zł

Pszczoły i Anioły

fot. Ryszard Masłowski

Na dzień dobry

Usłyszałem niedawno, że z pewnym rozczarowaniem kilka osób odebrało brak wstępu w wykonaniu redaktora naczelnego, czyli mnie, w ostatnim numerze Echa. Śpieszę donieść, że to nie moje lenistwo, ani brak chęci popisania się mą grafomanią, było tego przyczyną a najzwyklejszy brak miejsca. Myślę jednak, że strata była niewielka, tym bardziej, że dzisiaj postaram się ją z nawiązką zrekompensować. Spokojnie, nie będzie tego dużo, bo… wiadomo - brak miejsca.

Miesiąc temu rozpoczęliśmy batalię o zachowanie Wilczej Góry. Do naszego głosu przyłączyła się Gazeta Wrocławska i dochodzą mnie głosy, że mieszkańcy naszego powiatu zelektryzowani tą wieścią: dyskutują na ten temat i co ważniejsze - generalnie są przeciw rozkopaniu - jakby nie było, jednego z symboli naszego grodu. I bardzo dobrze!

Nie będę już się pastwił nad firmą „Colas" i jej opłaconymi ekspertami, którzy negują sens istnienia Wilczaka, ale jednego przemilczeć nie zdołam. Podziwiam ludzi takich jak pan Klejna, który twierdzi, cytuję za Gazetą Wocławską z 31 stycznia: „Wzgórze szpeci krajobraz. Z daleka widać, że to twór nienaturalny". Autentycznie podziwiam. Osobiście nie miałbym odwagi opowiadać takich dyrdymałów. Nie wiem panie Klejna, czy pan to sam wymyślił, czy też pana przełożony. Ponoć o gustach nie należy dyskutować, ale chyba jednak są jakieś granice dobrego smaku i przyzwoitości. Rozumiem, że dla niektórych i to również, co muszę stwierdzić z ubolewaniem - dla kilku złotoryjan, Wilczak to stos kamieni, które można dobrze sprzedać. Może jednak zanim zawładnie tymi panami całkowicie egoizm, prywata i żądza pieniądza, warto się zastanowić czy ziemia złotoryjska to tylko prywatny folwark do wyeksploatowania. Przykład Rozlewiska Rospudy świadczy o tym, że w naszym Kraju rezerwat przyrody nie jest czymś czego nie można ruszyć. Dlatego musimy bacznie przypatrywać się wszelkim poczynaniom wobec Wilczej Góry, aby pewnego dnia ktoś nie postawił nas przed faktem dokonanym.

Mam nadzieję, że nasi włodarze nie zapomną, co jest prawdziwą solą tej ziemi. To nie te wielkie firmy, które dzisiaj są, a jutro ich tu nie będzie. To nie firmy, które zyski przelewają do centrali w odległych od Złotoryi miejscach a podatki, jeśli są, eksportują jeszcze dalej. Solą tej ziemi są jej mieszkańcy i ich praca. To także te małe firmy, o których istnieniu wie tylko święta trójca: urząd skarbowy ZUS i czasem inspekcja pracy. Ten numer poświęciliśmy właśnie drobnej przedsiębiorczości na ziemi złotoryjskiej.

Robert Pawłowski

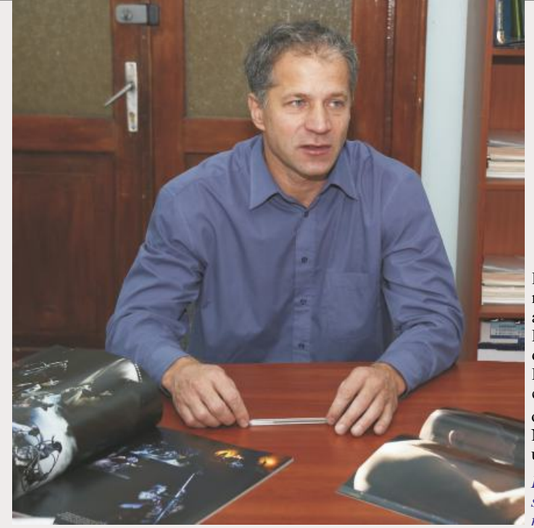

Obywatel świata

Iwona Pawłowska: *Nie jest łatwo umówić się z Panem na rozmowę. Liczne zajęcia, podróże…*

Bogdan Zając: Zgadza się, właśnie wróciłem z Ameryki, z Las Vegas. Odnawiałem tam kontakty. Kiedyś pracowałem w tym mieście przez parę lat. Teraz postanowiłem pojechać znowu i odświeżyć znajomości. Chcę nawiązać współpracę z producentami przedstawienia, w którym mógłby wystąpić Ocelot. Takiego rodzaju show organizuje firma, która ma zasięg światowy.

I. P: *Kojarzony jest Pan przede wszystkim z Ocelotem, mnie jednak interesuje przeszłość, czyli lata 70., kiedy zdobywał Pan tytuł mistrza świata w akrobatyce sportowej. Jak wyglądała Pana droga do sukcesu?*

B.Z: Miałem wtedy osiemnaście lat. W Złotoryi pojawił się człowiek, nazywał się Zygmunt Biegaj i był trenerem w Jaworze. Miasto wytworzyło taką fajną atmosferę dla rozwoju sportu i Biegaj został tu zaproszony, by podjął współdziałanie ze szkołami dla rozwoju akrobatyki sportowej. W krótkim czasie powstał tak silny ośrodek akrobatyki, że liczył się w kraju. Ale to właśnie zasługa splotu kilku okoliczności. Był trener, były przychylne władze miasta i zainteresowana młodzież. Pamiętam, że jak ogłosili zapisy do sekcji akrobatyki, to się mnóstwo ludzi zgłosiło. Zaczynaliśmy tu obok, w sali baletowej w ZOK- u. Pamiętam, że był duży entuzjazm.

I.P: *Co motywowało młodzież do ćwiczeń? Przecież nie było jeszcze żadnych idoli akrobatów. Nikt nikomu chyba też nie obiecywał sukcesów?*

B.Z: Nie, nie obiecywano, ale trener przywiózł kilku zaawansowanych akrobatów z Jawora - tam już sekcja od kilku lat istniała i odnosiła sukcesy. Mówił: zobaczcie dzieciaki, jak to może wyglądać. To była motywacja.

I.P: *Co zmieniło się w Pana życiu, gdy jako złotoryjska czwórka wywalczyliście wraz z Antonowiczem, Świecikiem i Haładą w 1979 roku tytuł mistrzów świata w akrobatyce sportowej?*

B. Z: Nie spoczęliśmy na laurach. Zmieniło się tylko to, że zamiast trzech treningów w tygodniu ćwiczyliśmy codziennie po trzy godziny. Jeśli chcieliśmy się dalej w to bawić, musieliśmy być bardziej zorganizowani.

I. P: *Jak traktowano w Złotoryi mistrzów świata?*

B.Z: Wszyscy cieszyli się z tego, co się stało. Mówi się, że nasz naród jest taki, że jak się komuś szczęści, to wszyscy szukają dziury w całym. To jednak nie jest prawda. Złotoryja naprawdę cieszyła się naszym sukcesem.

I. P: *Z dużą sympatią mówi Pan o Złotoryi.*

B.Z: To jednak będzie się powoli zmieniać. Już nie tylko Złotoryja, ale również Wrocław będzie naszym zapleczem. Związane jest to z faktem, że jeśli chcemy się rozwijać, musimy zatrudnić więcej akrobatów. To są najczęściej ludzie młodzi, uczniowie. Pochodzą z całej Polski. Rodzice nie chcą, by ich dzieci wyprowadzały się z domu, wyjeżdżały do odległej Złotoryi. Jednak jeśli chcą osiągać sukcesy, muszą systematycznie trenować. Nie da się tego zrobić na odległość. We Wrocławiu jest większa szansa na pozyskanie młodzieży miejscowej. Dlatego stawiamy na Wrocław. Nie porzucamy jednak rodzinnych stron.

I. P: *Byłoby to chyba trudne, jeśli chce Pan doprowadzić do końca realizację Projektu Wyskok. Na waszej stronie internetowej oglądałam imponujący plan ośrodka, czytałam o ambitnych planach, by uczynić z tego miejsca centrum medyczno - sportowe. Jednak, kiedy ostatnio przejeżdżałam przez Wyskok, miałam wrażenie, że nic się tam nie dzieje.*

B.Z: Na razie w Wyskoku jest tylko magazyn naszego sprzętu. Kiedy uda się zgromadzić pewne środki finansowe, chcemy się wziąć wreszcie za realizację projektu. Jednak potrzebne są fundusze. Nawet gdybyśmy chcieli starać się o dotacje unijne, musimy zgromadzić wkład własny. Myślę, że w tym roku ruszymy z pracami. Jeśli chcemy iść w duże produkcje, powinniśmy zapewnić sobie bazę.

I.P: *Projekt Wyskok to bardzo ambitne przedsięwzięcie. Z planów wynika, że mieścić się tam będzie centrum sportowo - medyczne. Będzie to obiekt otwarty? Dostępny dla mieszkańców regionu?*

B.Z: Przede wszystkim centrum będzie zapleczem dla Ocelotu, nie wykluczam jednak innej możliwości. Nie wiem jednak, czy nasi mieszkańcy chętnie korzystaliby z centrum medycznego. Obserwuję niepokojący fakt: Ludzie są skłonni wydawać setki złotych rocznie na ubezpieczenie samochodu, natomiast skąpią na ubezpieczenie zdrowotne. Jeśli to się nie zmieni, nie będzie szansy na poprawę sytuacji w służbie zdrowia.

I.P: *Jest Pan z wykształcenia lekarzem. Wykorzystuje Pan na co dzień swój fach?*

B.Z: Oczywiście. W przypadku kontuzji akrobaty od razu możemy wejść z odpowiednią terapią. Wiadomo - czas w tej sytuacji liczy się bardzo. Współpracuję też z lekarzami ze złotoryjskiego szpitala.

I. P: *Często akrobatom zdarzają się kontuzje?*

B. Z: Nie, ta dyscyplina nie jest na szczęście kontuzjogenna. Dużą jej zaletą jest współpraca między akrobatami. Obecność partnera gwarantuje asekurację i bezpieczeństwo. Zupełnie inaczej jest w gimnastyce przyrządowej. Tam akrobata musi liczyć tylko na siebie, na swoje umiejętności.

I.P: *Mam wrażenie, że opanował Pan nie tylko zagadnienia związane z medycyną czy akrobatyką, ale również marketingiem i zarządzaniem. Założył Pan Fundację Wspierania Kultury Ruchu „Ocelot". Czy fundacja to sposób na zarabianie pieniędzy?*

B.Z: Fundacja to nie jest nowy pomysł. Kiedyś pracowałem w takiej firmie w Kanadzie. Organizowała ona przedstawienia, zajmowała się pozyskiwaniem pieniędzy i otoczką medialną. Chciałem zrobić kopię takiego przedsięwzięcia w Polsce. I poniekąd to się udało. Tylko z tą pomocą finansową nie zawsze wychodzi. Więcej jest chętnych do brania niż dawania. Doszliśmy do wniosku, że musimy liczyć przede wszystkim na siebie. Jeżeli w którymś momencie dotacje się pojawią, będzie super, ale nie możemy tylko na to czekać. Po raz pierwszy w zeszłym roku - w trakcie sześcioletniej działalności - dostaliśmy od Ministerstwa Kultury dotację, która pomogła nam zrealizować projekt. Przez cztery tygodnie mogliśmy występować w Kołobrzegu. Zapaliło się nam światełko w tunelu. Sądzę, że teraz mamy szansę na kolejne pieniądze, tylko trzeba cierpliwie odstać „w kolejce do kasy". Musimy swoje odczekać i pokazać, że potrafimy sensownie wykorzystać wcześniejsze fundusze. Pomysł z fundacją, jak widać, nie jest zupełnie nowatorski. Przeniosłem tylko na grunt polski to, co sprawnie działa na szeroko pojętym Zachodzie. Jednak u nas w Polsce wszystko potrzebuje więcej czasu.

I.P: *Skoro mówimy o pieniądzach, zdradzi Pan, ile zarabiają artyści z Ocelota?*

B.Z: Nie zdradzę. Mogę jedynie powiedzieć, że chciałbym, aby moi artyści byli sowicie wynagradzani. Jeśli wymaga się od nich poświęcenia, wysokiego poziomu występów (kilkaset razy w roku), to jak najbardziej powinni być dobrze opłacani i w ten sposób doceniani. Jest to jednak delikatna materia, bo mamy do czynienia często z młodymi ludźmi, dla których większe pieniądze mogą stać się powodem zmanierowania. Dlatego postanowiliśmy stworzyć system stypendiów dla młodzieży szkolnej. Uczniowie, występujący w Ocelocie, otrzymują pieniądze gwarantujące im utrzymanie i treningi. Oni są jednak inaczej rozliczani niż ludzie dorośli, utrzymujący się jedynie z występów.

I.P: *Łatwiej pracuje się z młodzieżą czy z dorosłymi?*

B.Z: Dzieci i młodzież to bardziej plastyczny „materiał". Mają większe zdolności ruchowe. Szybciej uczą się elementów akrobatycznych czy tańca. Z dorosłymi łatwiej pracuje się pod kątem artystycznym. Dojrzalsi ludzie są lepszymi aktorami, chętniej się otwierają i odważniej pokazują emocje na scenie. Młodzież się buntuje przeciwko ćwiczeniom typowo aktorskim.

I. P*: Jak wygląda nabór do Ocelota?*

B.Z: Różnie. Czasami to są castingi. Taką formę wybieramy, kiedy wiemy, kogo potrzebujemy. Ostatnio zorganizowaliśmy casting we Wrocławiu. Bywa, że podczas turnee przychodzą do nas ludzie chcący występować w Ocelocie. Można również przysłać do nas swoje zgłoszenie zawierające CV, zdjęcie, krótki materiał filmowy. My wtedy zapraszamy na spotkanie i dajemy szansę na zaistnienie. Najważniejsze, by ludzie chcieli i byli skłonni do współpracy. W tym działaniu współpraca jest bardzo istotna.

I. P: *A jak wygląda Pana współpraca z kolegami z Wielkiej Czwórki: Antonowiczem, Świecikiem, Haladą?*

B. Z: Działamy razem.

Zdjęcie: materiały promocyjne "Ocelot"

Leszek Antonowicz i Wojtek Świecik są trenerami w złotoryjskiej sekcji akrobatyki. Wojtek ponadto jest zatrudniony w Ocelocie jako trener. Hałada jest w Niemczech. Skończył studia pedagogiczne i uczy niemiecką młodzież. Można powiedzieć, że bawi się w sport, sprzedaje swoje umiejętności akrobatyczne. Mamy kontakt ze sobą, ale nie spotykamy się często. Wszyscy jesteśmy zapracowani.

I. P: *Ma Pan czas na życie prywatne?*

B.Z: Z tym jest problem. Są momenty przyśpieszenia organizacyjnego, kiedy nie mam czasu na życie prywatne. Teraz jest taki okres: styczeń, luty to czas organizowania pracy na jesień i wiosnę przyszłego roku. Nawiązujemy kontakty, podpisujemy kontrakty. Jednak potem, w czasie wakacji to się skończy. Wtedy w tym biznesie następuje wyciszenie. Niezależnie od wszystkiego mam czas przeczytać książkę (na przykład podczas lotu do Las Vegas), pójść do kina. W ten weekend byłem na nartach i na basenie.

I.P: *Wspominał Pan o wizycie w Las Vegas. Jak wyglądają tamtejsze kasyna?*

B.Z: Zupełnie inaczej niż w Europie. Kasyno jest w każdym hotelu. Nie chodzi się tam w smokingach, ale w szortach i sandałach. Oczywiście są też takie miejsca, gdzie trzeba mieć 50 tys. dolarów, żeby wejść, ale generalnie są to przybytki dla ludu. Mnie się w Las Vegas bardzo podoba. 95% dni w roku jest słońce. Zapraszam! Tam naprawdę jest tanio. Bywa, że lecę do Las Vegas i robię zakupy. Sprzęt sportowy, ubrania…

I. P*: W jakim innym egzotycznym miejscu Pan był?*

B.Z: W Japonii. Ale tam mi się nie podobało. Za dużo ludzi, za mało miejsca. Wieś w Japonii jest piękna: szczególnie pola ryżowe, lasy bambusowe, ale miasta są za ciasne: wąskie ulice, małe auta. W metrze są tacy ludzie w białych rękawiczkach, którzy upychają pasażerów do wagonów, żeby się wszyscy pomieścili. A Japończycy są wszyscy tacy sami - rzeka ubranych w garnitury ludzi. Podoba mi się jednak ich kuchnia, kultura, uprzejmość. Taksówka w Japonii jest sterylnie czysta i pachnąca , kierowca w garniturze, białej koszuli i takich samych rękawiczkach, a pasażer siedzi na białej kapie. Zupełnie inaczej niż w Stanach. Można doznać szoku, porównując ich taksówki.

W Japonii przeżyłem trzęsienie ziemi. Była czwarta nad ranem. 30 sekund to wszystko trwało. Niesamowite przeżycie.

I.P: *Jest Pan obywatelem świata?*

B.Z: Można tak powiedzieć. Mam podwójne obywatelstwo: polskie i kanadyjskie. Pod koniec lat 80. wyemigrowałem z kraju. Powiedziałem sobie: nie chcę tutaj żyć. Doszedłem do wniosku, że gdzieś tam w świecie jest więcej możliwości rozwoju. Dopóki byłem tylko sportowcem, było OK. Kiedy jednak zacząłem pracować w szpitalu, poczułem, że ograniczono mi wolność. Musiałem pytać o zgodę kilka osób, czy mogę wyjechać na urlop. Powiedziałem: dziękuję i wyruszyłem w świat. Uważam teraz, z perspektywy czasu, że takie wyjazdy są konieczne i nie rozumiem, dlaczego wszyscy lamentują, że młodzież wyrusza za granicę. Większość wróci.

I. P: *Tak jak Pan?*

B.Z: Tak, ja uważam, że w tym kraju jest jeszcze dużo do zrobienia. Tam na Zachodzie już wszystko zostało zrobione, poukładane. Nuda. Jeszcze tylko w Ameryce jest jakiś power. Ludzie wiedzą, że wszystko od nich zależy. Potrafią liczyć, kalkulować, inwestować, po prostu obchodzić się z pieniędzmi. My jeszcze tego nie umiemy, uczymy się - często właśnie za granicą. Wszyscy na świecie podróżują. To nie jest nic groźnego. Musi być ruch. Nawet kiedy zastanawialiśmy się, jak nazwać naszą fundację, postanowiliśmy, że w nazwie będzie słowo „ruch" - Fundacja Wspierania Kultury Ruchu. Jest to pojęcie symboliczne. Kojarzy się z szeroko pojmowaną aktywnością. A wracając do Pani pytania, sądzę, że więcej można zrobić tu niż tam.

I.P: *Jak ten nudny i znudzony Zachód przyjmuje występy Ocelota?*

B. Z: Konkurencja jest duża, ale my już mamy swoją markę. Jesteśmy rozpoznawalni. Otrzymujemy liczne zaproszenia nie tylko z Europy. Z roku na rok jest lepiej. Wczoraj zadzwonili do nas z Grecji z pytaniem, kiedy moglibyśmy przyjechać z występami. W kraju jesteśmy rozrywani. Występujemy na imprezach firmowych, towarzyszymy pani Rodowicz, Ingrid, Krawczykowi. Telewizja ustala pod nasze plany swoje programy. Terminarz mamy już wypełniony.

I.P: *Wypada tylko życzyć, by telefony nie przestały dzwonić.*

B. Z: Dziękuję.

Rozmawiała Iwona Pawłowska
Zdjęcie Ryszard Masłowski

ECHO ZŁOTORYI Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli:Agata Arian, Józef Banaszek, Aleksander Borys, Anna Chrzanowska, Renata Fuchs, Roman Gorzkowski, Ryszard Masłowski, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Aniela Pietruszczak, Konrad Stach

Ciepłe kolory Marii Leśnej

Wakacje z wnukiem Szymonem - 2005 r.

Na ten przebrzydły świat przyszła w jednym z najbardziej uroczych miejsc Ziemi Złotoryjskiej, w Leszczynie, w dniu 14 sierpnia 1953 roku. Jest więc zodiakalną lwicą. Charakter tego znaku w sferze rodzinnej objawia się w obronie („jak lwica") swoich najbliższych, natomiast w sferze społecznej w obronie poglądów i przyjętych zasad.

Rodzice: Helena i Julian (pracował też w kopalni „Lena") byli rolnikami. Marysia nie jest jedynaczką, do towarzystwa przybyła jej nieco później siostra Krystyna.

Edukację szkolną rozpoczęła w Szkole Podstawowej w Leszczynie (klasy I-IV), a następnie w Prusicach. Ma swoich ulubionych nauczycieli, do których zalicza przede wszystkim Mirosławę Wychowaniec z Leszczyny. Jest to wzajemna życzliwość i sympatia, ponieważ jej pierwsza nauczycielka również wspomina Marię Mazur „jako wzorową uczennicę, która nie mieściła się w ówczesnej skali ocen". Na innych szczeblach edukacji również miała szczęście spotkać pedagogów, którym coś zawdzięcza. Po szkole podstawowej przyszła kolej na złotoryjski „ogólniak", a po nim na Akademię Rolniczą we Wrocławiu. Na każdym z tych etapów zdarzały się oczywiście szkolne miłości „było ich kilka" stwierdza enigmatycznie moja rozmówczyni.

Ulubioną bohaterką, jeszcze z lektur szkolnych jest Justyna z „Nad Niemnem"; ponad to polubiła bohaterki z utworów D. Steel. Zasadniczo jednak najbardziej „wyczuwa" klimat powieści oraz bohaterów pozytywistycznych ich pracę u podstaw, pracę organiczną. Lwy żyją w klimacie ciepłym, toteż nic dziwnego, że „lwica" Maria lubi lato słońce, ciepło, letnią roślinność, kwiaty. Lubi również ciepłe kolory: żółty brąz, rudy.

W tym czasie dzieci wiejskie, a szczególnie dzieci rolników miały przydzielone obowiązki od prostych jak pilnowanie gęsi, wypas krów, do trudnych prac polowych. Już jako dziecko miała swoje obowiązki, które polegały na sprzątaniu oraz sprawowaniu opieki nad młodszą siostrą. Jako nastolatka musiała angażować się nie tylko w pracach porządkowych w domu, lecz pomagać w ciężkich pracach polowych. Bywały sezony, kiedy żniwa w rodzinie Mazurów przeprowadzali rodzice z dwójką córek; miały wtedy 7 i 11 lat. Nikt nie lubi ciężkich prac, ale za szczególnie uciążliwe uważa plewienie buraków oraz zbieranie ziemniaków przede wszystkim wtedy, kiedy maszyna popędzała zbierających i trzeba było w porę wyzbierać swój odcinek. Ulubionymi kwiatami są róże we wszystkich gatunkach i kolorach.

Z pola przeskoczymy do kuchni „nie jestem nad wyraz wybredna w jedzeniu, smakuje mi prawie wszystko". Swoje umiejętności kulinarne ukazuje przede wszystkim w wypiekach są to różnego rodzaju serniki, torty „według własnego pomysłu". W powieści biblijnej o Adamie i Ewie główną rolę odegrała Ewa i jabłko. W przypadku rodziny Leśnych kusicielem był Roman a jego atrybutem ... gruszka. Był rok 1977, wielka powódź i sołtys Kozowa (Roman Leśny), zaprosił pracownicę Urzędu Gminy i jej koleżankę na gruszki. Poczęstunek został „przyjęty z wielkim zadowoleniem". Gruszka do dnia dzisiejszego stoi w ogrodzie posesji numer 2 A w Kozowie. Już jednak nie dziełem gruszek jest przyjście na świat Łucji (obecnie 28 lat) oraz Hanny (24 lata). Starsza córka jest geodetą i założyła własną rodzinę z Piotrem Malcem. Młodsza jest kosmetologiem. Jest wysoce prawdopodobne, że główną rolę w rodzinie będzie odgrywał (pewnie już tak jest) wnuk Szymon obecnie ma 5 i pół roku ale do powiedzenia ma już sporo.

Właściwie to posesję numer 2 A powinny chronić gminne „borowiki". Pod jednym dachem muszą zmieścić się: sołtys Kozowa i wójt Gminy Złotoryja. Praktycznie to Pani Wójt rozpoczęła „karierę" jako sołtysowa Roman Leśny jest bowiem najdłużej sprawującym urząd sołtysa w obecnej gminie. Na pytanie jak sołtys znosi obecność wójtowej pada krótka odpowiedz: „przyzwyczaił się do mojej nieobecności i doskonale potrafi zastąpić mnie przy kuchni".

Musiałem również zapytać czy również w domu Maria Leśna jest wójtem. „Niestety jest w sensie ustalania trybu i porządku spraw do załatwienia". W tej materii daleko idącej zbieżności poglądów u Państwa Leśnych nie ma. Gdyby wskazać w rodzinie tego, który zawsze lepiej wie (tzw. „wielepa") to byłaby to Maria Leśna.

Za najbardziej potrzebne kobiecie cechy uznaje: dobroć, serdeczność, umiejętność oceny zachowań innych i rozwaga w wypowiedziach, a także cierpliwość. Najbardziej nieprzyjemne cechy kobiece to wyzywające zachowanie, skłonność do plotkarstwa i zazdrość. Wśród cech męskich za najcenniejsze uznaje: opiekuńczość, zaradność i pracowitość (sprawdziłem u znajomych wszystkie te cechy posiada sołtys Kozowa). Te cechy pozwalają mężowi Marii Leśnej m. in. sprawianie

II klasa szkoły podstawowej - 1961 r.

karpia na święta. Tegoroczny „Sylwester" odbył się w domu z przyjaciółmi. Nowy Rok witano z nadzieją, że „będzie spokojny, bez żadnych nieprzewidywalnych zdarzeń, na pewno będzie pracowity".

Nowa kadencja wymusza niejako pracowitość. „Żadna z kadencji nie była łatwa. Dziś najtrudniejsza wydaje się ta, która się zaczęła". Najtrudniejszym problemem w okresie dotychczasowego „wójtowania" było uchwalenie planu zagospodarowania przestrzennego dla lokalnej strefy gospodarczej w Ernestynowie; prace zakończyły się dopiero w 2006r., a planowano 2003r. Najpilniejszym zadaniem do roku 2010 wydaje się w tej chwili być dokończenie kanalizacji gminy oraz wybudowanie sali gimnastycznej przy Szkole Podstawowej w Gierałtowcu „i gdyby się tak udało sprawić, że wszyscy mieszkańcy mają dobrą pracę i godziwe warunki do życia, to byłabym bardzo zadowolona". Na rozmowę w sprawie oceny tej kadencji umawiamy się za 4 lata. W nadziei, że ocena będzie pozytywna - redakcja „Echa" życzy , aby już ten rok 2007 był zdrowy i dobry.

Alfred Michler

zdjęcia z archiwum pani Wójt

Zdjęcie rodzinne w 20 rocznicę ślubu

Wieża ciśnień i Jan Nepomucen

W latach 1723-1742 burmistrzem miasta był Johann Leopold Feige, przedstawiciel tej samej zasłużonej rodziny, z której wywodził się poprzednio opisany gospodarz miasta. Potomni zapamiętali go nie tylko jako osobę zasłużoną da miejskiej gospodarki wszak dzięki jego decyzjom zbudowano w 1725 r. wieżę ciśnień na Górze Zamkowej i nowe wodociągi, co miało m.in. znaczenie dla prężnie rozwijającego się sukiennictwa lecz również jako dbającego o miejską kulturę i zabudowę. Dzięki prospericie tutejsi franciszkanie mogli dokończyć około 1725 r. odbudowę swego klasztoru i kościoła św. Jadwigi. Na ich wysiłki burmistrz jako katolik patrzył życzliwie. W 1732 r., z jego inicjatywy stanął przed ratuszem pomnik św. Jana Nepomucena a trzy lata później zakończono budowę tzw. Domu Burmistrza przy dzisiejszej ul. Marii Konopnickiej przy kortach tenisowych. Johann Leopold przeżył zajęcie Śląska przez Prusy w 1740 r.; wojska pruskie dotarły także do Złotoryi. Burmistrz był ojcem siedmiorga dzieci, lecz żadne z nich nie kontynuowało tradycji rodzinnych jako burmistrzowie czy rektorzy szkoły. Spoczął wraz z małżonką w katolickim kościele św. Jadwigi w grobie przed amboną.

Dzisiaj przystanąć warto przed statuą Jana Nepomucena(od 1840 r. przed kościołem św. Jadwigi) i poddać się refleksji o konieczności dochowywania tajemnicy, odnaleźć ślady dawnej świetności Domu Burmistrza i umieszczone tutaj herby fundatora oraz zastanowić się jak można byłoby pomóc popadającej w ruinę wieży ciśnień.

Roman Gorzkowski

Nowy zarząd TMZZ

Walne Zebranie Członków TMMZ udzieliło absolutorium ustępującemu Zarządowi i przyjęło uchwały, które będą podstawą do działania w kolejnej kadencji 20-letniego stowarzyszenia. Wybrano 9-osobowy Zarząd, Sąd Koleżeński i Komisję Rewizyjną. Władze stowarzyszenia ukonstytuują się do 7 marca. Ich zadaniem jest tworzenie warunków do pracy statutowej, merytorycznej.

W skład Zarządu weszli: Włodzimierz Bajoński, Józef Banaszek, Zenon Bernacki, Aleksander Borys, Bogusław Cetera, Roman Gorzkowski, Damian Komada, Danuta Sosa, Krzysztof Zamojski.

Komisję Rewizyjną tworzą: Anna Bednarz, Jan Nowak, Kazimiera Tuchowska.

W ławach Sądu Koleżeńskiego zasiadają: Ryszarda Cetera, Piotr Norko, Joanna Pluta.

fot.: Andrzej Frąckiewicz

Czas rozliczeń, czas podsumowania

Gośćmi spotkania byli wójt gminy Złotoryja Maria Leśna, v-ce starosta Józef Sudoł, sekretarz Urzędu Miasta Złotoryja Włodzimierz Bajoński oraz v-ce prezes Dolnośląskiego Towarzystwa Społeczno Kulturalnego we Wrocławiu Marek Nałęcz Socha, który wręczył listy gratulacyjne DTSK dziesięciu działaczom TMMZ.

Zarząd składa sprawozdanie co roku. Dlatego wystąpienie prezesa Aleksandra Borysa obejmowało realizację zadań tylko za 2006 rok. Mimo to zawierało ponad 60 konkretnych przedsięwzięć podjętych całkowicie społecznie przez członków i sympatyków TMZZ, przy życzliwym wsparciu władz administracyjnych i samorządowych powiatu, miast i gmin oraz niektórych sołectw (np Dobkowa, Rzymówki czy Sokołowca). Efekty naszej pracy są wymierne.

Aktywnie włączyliśmy się do wyborów samorządowych. Troje naszych kandydatów zasiada w Radzie Miasta, a działacze podobnych, bliskich nam stowarzyszeń odnieśli sukcesy wyborcze w swoich lokalnych władzach. Ta tendencja wskazuje na rosnącą rolę społeczeństwa obywatelskiego, które samo chce rozwijać swoją miejscowość.

Zorganizowaliśmy zespół ds. przygotowania obchodów Jubileuszu Złotoryi (2011 r.) i trzykrotnie spotkaliśmy się w tej sprawie z Burmistrzem Złotoryi, który powoła Komitet Obchodów 800-lecia. **Nasze miasto jako pierwsze na obecnym obszarze Polski otrzymało prawa miejskie w 1211 roku i tego pierwszeństwa nikt nam nie zabierze, my zaś musimy je wykorzystać!** Będziemy nagłaśniać sprawę i walczyć o wsparcie (patronat) w województwie i kraju, a za pośrednictwem eurodeputowanych także w Unii Europejskiej.

Turystyka rekreacyjna i kwalifikowana jest szansą Regionu Złotoryjskiego. Dlatego zainicjowaliśmy dyskusję na temat budowy nowej **ścieżki rowerowej**, prowadzącej wokół Wilczej Góry, wzdłuż Kaczawy i z odgałęzieniami do wszystkich atrakcyjnych miejsc ziemi złotoryjskiej. TMMZ zorganizował 6 lutego br. spotkanie inicjacyjne, które spotkało się z życzliwym zainteresowaniem przedstawicieli samorządów i władz gmin naszego powiatu. Zebrani wnieśli też uwagi i pomysły wynikające z posiadanego doświadczenia.

Nasze Towarzystwo stara się w swych działaniach łączyć tradycję ze współczesnością. Do tradycji historycznej nawiązuje ścieżka świętej Jadwigi. Odbyliśmy już 7 rajd tym szlakiem. Natomiast po raz pierwszy odbył się rajd rowerowy Szlakiem Źródlanym (Jerzmanice Rokitnica - Rzymówka). Nadajemy 3-stopniowe Odznaki Jadwiżańskie. Jesienią współorganizowaliśmy Memoriał T. Pietroszka.

Corocznie organizujemy wspólnie z nauczycielami konkursy historyczne i fundujemy nagrody dla laureatów. Na co dzień udostępniamy nasze zbiory biblioteczne (Anna Chrzanowska) dla uczniów i studentów, piszących prace naukowe, dyplomowe i magisterskie.

Na zlecenie Urzędu Miasta przeprowadzamy do 100 lekcji rocznie na temat regionalizmu w naszej siedzibie i w terenie. W 2006 roku opracowano zbiór konspektów, scenariuszy, tekstów źródłowych map konturowych oraz innych materiałów pod nazwą „Uczymy o Małej Ojczyźnie" na potrzeby zajęć regionalnych w szkołach miasta i powiatu

Nieustannie poszerzamy nasze zbiory dzięki współpracy z organizacjami krajowymi i zagranicznymi. Pan Andrzej Frąckiewicz wykonał zdjęcia do Fototeki Zabytków Ziemi Złotoryjskiej. Przygotowano do druku publikację Alfreda Michlera pt. *Gmina Złotoryja.* Trwają prace innych autorów nad kolejnymi wydawnictwami.

Dużym przedsięwzięciem naukowym była międzynarodowa sesja poświęcona stosunkom polsko-czesko-niemieckim. zorganizowana wysiłkiem wielu ludzi dzięki środkom pozyskanym z Euroregionu Nysa. Trwa przygotowanie druku materiałów z sesji (kwiecień).

Co roku w innym miejscu odbywa się Dzień Regionalisty połączony z piknikiem. Mówimy tam o naszych sprawach, a bliższe poznanie ułatwia efektywną współpracę. Patronuje nam starosta złotoryjski.

Nie sposób opisać wszystkich działań Towarzystwa: od naprawy oświetlenia w studni kościoła NNMP, dyżurów w siedzibie TMMZ do wydawania „Echa Złotoryi". Jest to codzienna, bezinteresowna praca na rzecz lokalnej społeczności i to właśnie daje satysfakcję. Czasami nie od razu.

Działacze TMMZ wspierani są przez zakłady pracy, hurtownie i sklepy, instytucje i prywatnych sponsorów: państwo Ceterowie zaprojektowali i sfinansowali (1.782,37 zł) ustawienie trzech ław z piaskowca wzdłuż ścieżki św. Jadwigi, a w kwiaciarni „Beniamin" pani Pląskowska utworzyła stoisko z naszymi wydawnictwami.

Wszystkim serdecznie dziękujemy.

Krzysztof Zamojski

Kolorowy świat dziecka

Prolog

Pociąg nie zdążył jeszcze na dobre się rozpędzić, gdy wagony zatrzymały się z piskiem w szczerym polu. Nieopodal, przed parowozem, tory nagle urywały się. Tam gdzie kilka lat temu był wiadukt, stały teraz jedynie filary a w dole biegły dwie wstęgi betonowej autostrady. Podróżni wraz z całym dobytkiem wysiedli z wagonów i po stromej skarpie zaczęli schodzić w dół, by po drugiej stronie drogi znowu z trudem wspiąć się do góry.

Szare płyty ciągnęły się ze wschodu, skąd przybyli,na zachód, gdzie podążali…

Za skarpą był dalszy ciąg torów. Stał tam też pociąg. W oddali majaczyły porośnięte lasami wzgórza. To najbliższe, wypiętrzone było ponad horyzont na kształt hełmu, na szczycie, którego w słońcu pobłyskiwały prawdopodobnie okna. Gdy wszyscy ulokowali się już w wagonach pociąg ruszył. Hełm zbliżał się z każdym stuknięciem kół. Czy Leszek i Władek wpatrywali się ciągle w okno? Czy też byli na tyle podekscytowani zbliżającym się spotkaniem z ojcem, że nie zwracali uwagi na to, co dzieje się za oknem?

Lwów

Jest rok 1937. Rodzina państwa Plebankiewiczów mieszka e centrum Lwowa. Pan Julian jest na państwowej posadzie szoferem wojewody Beliny-Prażmowskiego. Lwów nie do końca wyzbył się związków ze stolicą Cesarstwa Austriackiego, więc regularnie pan wojewoda, jest wożony do Wiednia przez pana Juliana limuzyną Packard. Trzy tylko takie samochody były w całej Polsce w tym dwa w Warszawie. Szofer wojewody to był prestiż i możliwość zapewnienia rodzinie godziwego bytu, tym bardziej, że w służbowym mieszkaniu na Czarnieckiego pojawł się właśnie pierwszy z kolejnego pokolenia Plebankiewiczów Leszek.

Samochód od samego początku zagościł w życiu pierworodnego. W czasie wojny pan Julian pracował w warsztacie samochodowym, i w zasadzie nic nie zmieniło się po wkroczeniu Rosjan.

Jest rok 1944. I klasa szkoły powszechnej. Pamięć dziecka zaciera to co złe, mieszają się daty, zacierają twarze. Są jednak wydarzenia, które na zawsze wtłaczają się i stają przed oczami w najmniej oczekiwanych chwilach. To mogło być niebawem przed wkroczeniem Armii Radzieckiej do miasta w lipcu 1944 roku. Być może miało to jakiś związek z Akcją Burza przygotowywanym przez Armię Krajową wyzwoleniem Lwowa. Siedmioletnie dziecko na pewno nie mogło tego wiedzieć, było natomiast przerażonym świadkiem wtargnięcia niemieckich żołnierzy do szkoły. Na rozkaz żołnierzy ich pani wyprowadziła wszystkich z klasy na korytarz. W tej chwili była ich przewodnikiem i jedynym obrońcą. Podziwiali jej spokój. Mogła mieć dwadzieścia parę lat, strach na pewno rozsadzał ją jeszcze bardziej niż otaczające ją dzieci dla nich pozostała bohaterką, która mogła ich obronić, ustrzec przed złym. Pamięć zatarła nazwisko. Pozostały obrazy.

W 1945 roku porwana falą repatriacji rodzina Plebankiewiczów przenosi się „na tym czasem" do pobliskiego Jarosławia. Nie chcieli jechać dalej przecież zaraz będą wracać.

Na ziemie zachodnie pierwsza wyjechała babcia pana Leszka jak i dlaczego trafiła akurat do Złotoryi trudno już w tej chwili dociec. W lecie 1946 roku w odwiedziny do teściowej pojechał pan Julian. Niebawem ze Złotoryi przyszedł list wzywający resztę rodziny do podróży na Zachód.

Przystanek Radomil.

Któż teraz wie cóż to takiego było? Wystarczy jednak przejść się ulicą Chojnowską do przejazdu kolejowego. Tam gdzie niegdyś stała budka dróżnika, widać jeszcze ślady zniszczonego peronu. Tutaj pan Leszek, jego brat Władek i ich mama po raz pierwszy postawili stopę na złotoryjskiej ziemi. Tu przychodzili witać ojca, który wracał z Wrocławia co sobotę z pracy i tu żegnali go gdy odjeżdżał po krótkim pobycie w domu. Stąd później pan Leszek dojeżdżał do technikum samochodowego w Legnicy. Magia miejsc, które powoli odchodzą w zapomnienie. Tego dnia chłonęli nowe widoki jak gąbka wodę. Do nowego domu nie było daleko. Przeszli koło gospodarstwa ogrodniczego, tartaku i boiska sportowego, minęli basen u stóp ginącej w zieleni Górki Mieszczańskiej, minęli rzeźnię. Naprzeciwko potężnych baniaków, w którym gromadzono wyprodukowany w gazowni gaz stał ich nowy dom.

Rower I

Niedościgłe marzenie małych chłopców w powojennej rzeczywistości. Tam gdzie teraz stoi pomnik z wagonikiem na przeciw basenu, była kiedyś jedna z siedmiu czy nawet ośmiu - stacja paliwowa. Pan Leszek jednym tchem może wymienić wszystkie: Pierwsza, uruchomiona po wojnie stacja paliwowa była w rynku naprzeciwko dzisiejszej piekarni pana Barana, długi czas prowadził ją pan Franek Misaczek, biuro miał tam gdzie później była księgarnia a teraz jest sklep z pieczywem. Poniżej koło pomnika górników złotoryjskich znajdowała się następna. Kolejna była na Krzywoustego, przy skrzyżowaniu z ul. Leszczyńską. Tam gdzie dzisiaj stoi Jamnik przy Reymonta, w ośrodku maszynowym była czwarta. Nieopodal dzisiejszego zalewu przy gospodzie, też stał dystrybutor. Przy Legnickiej tam gdzie do niedawna był CPN, była stacja paliwowa a obok stał spalony volkswagen i warsztat bez dachu. No i na Grunwaldzkiej, a jeszcze przecież nieopodal stacji kolejowej. Największa, ale i najważniejsza dla pana Leszka i jego przyjaciół była ta gdzie teraz stoi wagonik z bazaltem. Później zabrano dystrybutory, wykopano zbiorniki, rozebrano resztki budynku a teren zniwelowano. Jednak latem 1946 roku w piwnicach magazynu można było wydobyć prawdziwe skarby rowery a właściwie to, co z nich pozostało. Ktoś kiedyś oblał benzyną zawartość piwnic i podpalił. Ogień jednak nie miał dość powietrza, aby zniszczyć to co miało zostać zniszczone, więc okoliczna gawiedź co rusz, wyciągała mniej lub bardziej nadpalone maszyny i z kilku składała jeden rower, albo konstruowała całkiem inne pojazdy np. wózki na łożyskach, którymi z pobliskiej górki zjeżdżali ochoczo chłopcy. A był tam, w ten czas, tam gdzie teraz wije się ulica kardynała Wyszyńskiego, odcinek prawdziwego, równego jak stół asfaltu. Pędziły więc wózki i słychać było śmiech i wesoły krzyk dzieci polskich i niemieckich.

Limuzyna Packard i pan Julian Plebankiewicz - z archiwum rodzinnego

Stosunki polsko-niemieckie

Zabawom tym przyglądali się z pewnością dorośli: okupanci i okupowani. Co wtedy czuli rok po zakończeniu najkrwawszej z wojen? Dzieci nie znały się na polityce. Czas wojny bardziej kojarzył im się z niebezpieczeństwem ze strony Rosjan niż Niemców. To co złe ginęło szybko w pamięci, tu rozpościerała się nowa rzeczywistość, którą trzeba było czerpać pełną piersią. Nikt nie robił im wstrętu, gdy szli do domu niemieckich kolegów, nikt tez nie potępiał, gdy tamci przybywali z rewizytą. Nie znali języka, zadziwiające jak dzieci mimo to potrafią się porozumieć. Jeszcze bardziej zadziwiające jest jak kilka lat starsze dzieci z tą samą gorliwością zachłystują się oparami nacjonalizmu i nienawiści.

Górka Mieszczańska wabiła wszystkich okwieconymi alejkami wysypanymi żwirem, Dróżki prowadziły do restauracji na jej szczycie. Przy alejkach stały liczne drewniane altanki, gdzie można było się schronić w razie deszczu. Po zmroku zapalały się latarnie gazowe. Nieopodal restauracji, wśród róż tryskała wodą przepiękna fontanna. Wszystko było posprzątane, uporządkowane, zadbane. Przy alejkach, na kamiennych ławkach siadywali Niemcy, przynoszący przezornie ze sobą poduszki, chroniące od zimnego kamienia. Idyllę tę co pewien czas przerywali rośli młodzieńcy, którzy krzykiem i kamieniami wyganiali odpoczywających z parkowych alejek. Ostentacyjnie dawali do zrozumienia, kto tu i teraz jest na swoim.

Zabawy dzieci

Woda w Kaczawie była jak kryształ. Chodzili łapać raki, kąpać się wśród pływających pstrągów. Dalej, za Kopaczem, stał kamienny most. Dwa kilogramy trotylu, lont, zapałki. Leżeli przyczajeni na moście. W dole szumiała rzeka. Nieopodal skrzypiało koło w opuszczonym młynie. Poza tym cisza. Żywego ducha. Nie spodziewali się aż takiego potężnego wybuchu. Wodę z Kaczawy na moment zabrało, most się zatrząsł. Ciekawość i przerażenie zroszone fontanną wody. Jedna z wielu powojennych zabaw. Na strychu ich domu przed długi czas był cały arsenał wybuchowych zabawek. Cud, że nikt nie zginął, że dom nie wyleciał w powietrze. Nie obyło się jednak bez ofiar. Adasiowi Wiatrowiczowi urwało kiedyś palce. Przestraszone dzieci pochowały się po domach i ukradkiem obserwowały jak rodzice prowadzą Adama do szpitala, który wówczas mieścił się tam gdzie dzisiaj siedzibę ma powiatowy katastrat - na ul. Konopnickiej.

Wiele lat później na tym samym strychu mama pana Leszka znalazła poniemiecki pistolet. Strach było zgłosić znalezisko na milicji, więc nocą pochłonął go nurt Kaczawy.

Niespełna dziesięcioletnie dzieci wykręcały zapalniki z min przeciwczołgowych, które znajdowały na każdym kroku.

Tam gdzie dzisiaj jest zalew przebiegał kanał młynówki, obok w skarpie była grota, plotka głosiła, że korytarz prowadzi aż do centrum miasta. Od tajemnic korytarza, bardziej pociągająca była sterta min piętrzących się w przedsionku. Bogactwo zamkniętego w puszce trotylu, które można było wykorzystać do różnych eksperymentów.

Za miastem w kierunku na Wilczą Górę wznosił się komin opuszczonej cegielni. Tuż obok był staw istniejący zresztą po dziś. Cegielnia kusiła swoimi zakamarkami, lecz największą atrakcją były wózki na szynach, które wtaczano na górkę by następnie puścić się w karkołomną jazdę w dół. Bywało, że rozpędzony wehikuł wyskakiwał z szyn i wpadał do stawu. Jeden z kolegów Leszka chciał jednak większych wrażeń. Pod piecem stała zepsuta maszyna do ciągnięcia wózków. Parę kilo trotylu. Huk był ogromny słyszeli go na pewno na komendzie milicji w budynku z czerwonej cegły vis a vis kościoła ewangelickiego. Komin pękł na pół, zwieńczenie zwaliło się na ziemię. Uciekli w stronę Wilkowa, późno w noc wrócili przez Prusice i Rokitnicę do domu jakoś się upiekło. Upiekło się również małemu Leszkowi i o dwa lata młodszemu Władkowi gdy w czasie zabawy z samopałami, jeden z takich przyrządów wybuchł w rękach młodszego z rodu Plebankiewiczów. Leszek, który bawił się nieopodal, usłyszał tylko huk i zobaczył jak brat spada bezwładnie z wysokiej skarpy. Coś czuwało jednak nad młodym strzelcem i skończyło się tylko na ogłuszeniu i potłuczeniu. Na pewien czas, ale niezbyt długi mieli dosyć pirotechniki.

Zabawy dorosłych

Przyjeżdżający na ziemie zachodnie Polacy zastawali urządzone domy, zasiane pola. Złotoryja żyła. Działały restauracje, rzeźnie, piekarnie. Najważniejsze jednak były restauracje. Największa była przy dzisiejszej ul. Piłsudskiego, tam gdzie do niedawna było PZU a wcześniej sklep CCC zajmowała parter i piętro. Druga duża restauracja była na rogu Żeromskiego i Rynku też zajmowała dwie kondygnacje.

W dni targowe, albo po żniwach, ulice miasta zapełniały się furmankami. Rzędy ich stały w rynku i w przylegających uliczkach. Długo po tym jak człowiek odpowiedzialny za to, chodził i zapalał gazowe latarnie - weselili się osadnicy. Wódka była tania, pragnienie wielkie. Co rusz dochodziło do bijatyk. Kolorytu dopełniał pan B., wykrzykujący na całe miasto epitety pod adresem PPRowców i UBowców. Nikt jednak nie ważył się wyciągnąć konsekwencji od dwukrotnego Bohatera Związku Radzieckiego. Co najwyżej odwozili go na Górną Złotoryję (dzisiejszy Wyskok). W nocy z miasta ciągnęły kolumny wozów, często kierowane jedynie pamięcią koni. Co jakiś czas jednostajny stukot podków o kocie łby, przerywały wrzaski i pędzące na wyścigi furmanki żądnych mocniejszych wrażeń chłopów.

Dzieci przy ul. Legnickiej były świadkami innych zabaw ludzi w mundurach Armii Czerwonej, którzy nader często spędzali czas w domu nieopodal. Fantazja ludzka bywa przeogromna zwłaszcza pobudzona alkoholem. Niekiedy w środku nocy budził mieszkańców huk armaty. Do dziś pan Leszek pamięta jak byli tulenie przez równie przerażoną mamę. Na pojedyncze strzały nie zwracali już uwagi.

Stosunki polsko-radzieckie

Podróże po bezludnych zakątkach podszyte były dreszczykiem emocji. Mogło się zdarzyć, że gnając rowerami natkną się na patrol żołnierzy radzieckich i będą wracać pieszo do domu. Dzieci traciły rowery, dorośli, bywało wracali z podróży w samych, za przeproszeniem, gaciach. Dość niebezpieczna była podróż autostradą. Starano się jeździć konwojami, bo pojedyncze samochody były zwykle łupione. Skarga na milicji mogła skończyć się na dołku. Przez długi czas władza ludowa nie przyjmowała do wiadomości, że krzywdę wyrządzali radzieccy żołnierze, ewentualnie można było się poskarżyć na niezidentyfikowanych bandytów mówiących po rosyjsku. Radzieccy towarzysze po pewnym czasie sami rozwiązani problem szybko i bez sądu. Tam gdzie dzisiaj ciągnie się ulica Górnicza, jest Komenda Policji oraz stary szpital, stacjonowało wojsko radzieckie. Byli na podbitej ziemi, więc nie krępowali się zbytnio. Koło stacji kolejowej był magazyn, w którym Rosjanie gromadzili cenne przedmioty do wywózki. Kiedyś w nocy magazyn spłonął z całą zawartością.

Naoglądaliśmy się filmów o polsko-radzieckim braterstwie broni…

Głucha noc. Fabryka kapeluszy tonie w ciemności. W pobliskim młynie żywego ducha. Cisza ustępuje pod naporem warkotu silnika ciężarówki. Powoli, drogą wzdłuż kanału młynówki toczy się nieoświetlony pojazd. Zatrzymuje się przed młynem. Z pojazdu wysypują się postacie w radzieckich mundurach. Zamknięte drzwi nie są dla nich przeszkodą i wkrótce szybko i sprawnie pod plandeką znikają kolejne worki z mąką.

Ciszę przerywa warkot następnego samochodu. Pojazd pędzi stromą ulicą obok fabryki. Żołnierze widząc zbliżającą się ponad murami fabryki smugę światła rzucają worki i sięgają po broń. Gdy zza załomu mury wyjeżdża samochód, padają pierwsze strzały. Tak mógł wyglądać początek istnej bitwy pomiędzy żołnierzami radzieckimi i funkcjonariuszami urzędu bezpieczeństwa. Jaki był finał, czy ktoś ucierpiał? Któż to teraz pamięta?

Szkoła

We wrześniu 1946 roku mały Leszek poszedł do trzeciej klasy szkoły podstawowej. Na ul. Konopnickiej mieściła się wtedy jedyna szkoła w mieście. W klasie było około trzydzieściorga dzieci w różnym wieku. Obok dziewięcioletnich maluchów siedzieli też, nawet o pięć lat starsi chłopcy, którym nie dane było uczyć się w czasie wojny. Do szkoły uczęszczały razem dzieci polskie, żydowskie i miejscowych autochtonów. Początkowa nieufność, tych którzy przybyli tu z różnych kresów Polski ustąpiła miejsca przyjaźniom na całe życie. Do dziś pan Leszek przyjaźni się ze swoim kolegą z klasy panem Mirkiem Sarną. Pamięć wydobywa imiona i nazwiska: Basia Borys, Olek Baran, Adam Wiatrowicz, dwie Zeiferówny (ich rodzice mieli piekarnię dziś należącą do GSu), Grzesiu Kurkiewicz, dwie dziewczynki od Feiersteinów, Skała szyn szewca, Waldek Wiśniowski, Tadek Sienkiewicz, Rudolf Kwapisz…

Oprócz szkoły powszechnej brat pana Leszka - Władek uczęszczał na lekcje muzyki grał na puzonie. Leszek nie przepadał za ćwiczeniem gam, bardziej pociągała go mechanika. Dziś twierdzi, że nie sprawiał kłopotów w szkole, ale za to jego brat Władek to i owszem.

Rowery II

Rower to była wolność. Kto miał pojazd, mógł poznawać okolicę. Dziecięca ciekawość prowadziła różnymi ścieżkami.

W nieodległym Łukaszowie było lotnisko. Latem 1946 roku nikt jeszcze nie pilnował stojących na płycie lotniska samolotów ani całego zaplecza. Poniewierała się amunicja. Jeździli tam często, demontowali z samolotów różne części, przede wszystkim wyciągali linki i łożyska, ale i zdarzały się materiały wybuchowe.

Później lotniska zaczęli pilnować Rosjanie, ale za garść papierosów wpuszczali na teren, sami wysypywali proch z pocisków, obdarowywali spłonkami.

Inny szlak wiódł na Wilczą Górę. Podziwiali wyciąg dla szybowców, obserwli jak niszczeje schronisko na szczycie góry. Pas startowy dla szybowców stopniowo zarastał.

Złotoryja kończyła się tuż za transformatorem na dzisiejszej ul. Wojska Polskiego. Kawałek za miastem, niedaleko dzisiejszego Osiedla Nad Zalewem było miejskie wysypisko śmieci. Z drugiej zaś strony u podnóża Górki Mieszczańskiej rozciągały się pola uprawne, na których rosło zboże.

Młyny? Ileż w Złotoryi było młynów. Tam gdzie teraz jest zakład pana Pawlaka, koło oczyszczalni ścieków, stał najładniejszy młyn w całej okolicy. Koło napędzało generator i pan Ciszewski miał swój własny prąd. Wzdłuż Kaczawy, od prawie samych Jerzmanic aż po Rokitnicę ciągnęła się młynówka kanał doprowadzający wodę do licznych młynów. Komu to przeszkadzało?

Dorośli

Mama zajmowała się domem. Ojciec zaczął pracować w PURze (Powiatowy Urząd Repatriacji) jako kierowca. Zatrudnił go znajomy ze Lwowa. Regułą było, że ludzie pochodzący z tych samych stron pomagali sobie nawzajem, ściągali na ziemie odzyskane swoich znajomych, załatwiali im pracę. Tak było i z ojcem pana Leszka.

- Julciu ty weź sobie jakiś dom, jakieś mieszkanie mawiał jego kierownik z PURu. Nie, on nie weźmie, bo cudzej krzywdy nie chce a poza tym wrócą Niemcy… Ja i tak zresztą będę wracał do Lwowa. Na dzisiejszej ul. Krzywoustego stał taki piękny dom. Nie, absolutnie nie nie chcieli. Mama też nie chciała. Nic nie wziął mieszkali razem z babcią.

Długie lata w domu stała nierozpakowana skrzynia codziennie byli gotowi, żeby wrócić do Lwowa. W listopadzie 1946 na świat przyszła młodsza siostra pana Leszka Marylka.

Nieopodal państwa Plebankiewiczów osiedlili się znajomi ze Lwowa państwo Borysowie.

Później pan Julian otworzył warsztat samochodowy we Wrocławiu przy ul. Chrobrego. Zaczęło im się lepiej powodzić. Kupili samochód. Na początku lat pięćdziesiątych, na fali walki z inicjatywą prywatną panu Julianowi nałożono domiar było tego półtora miliona. Znał wojewodę wrocławskiego, jeszcze ze Lwowa, ale ten mówił: - Julciu, tu ci nic nie mogę pomóc. Tylko tyle, że z półtora miliona zeszło na milion trzysta. I na raty. Musiał sprzedać warsztat. Samochód - Opla Olimpię, którego mieli, sprzedali do PZGSu za 350 tys. Do dziś pan Leszek pamięta, że tokarnię ojciec sprzedał za 110 tys. zł. Po latach pan Leszek odkupił tę właśnie tokarnię do własnego warsztatu. Musieli wyprzedać co się dało. Byli zrujnowani.

Exodus

Z każdym dniem ubywało Niemców. Część wyjeżdżała samodzielnie, większość jednak eksmitowano. Czasem w nocy podjeżdżał samochód pod dom i zabierał całą rodzinę. Były też planowe akcje wysiedlania. W dniu wywózki kolumna pchających wózki kobiet, dzieci i osób starszych przetaczała się nieopodal domu państwa Plebankiewiczów. Wkrótce przyszedł czas również na sąsiadów. Pan Leszek dobrze pamięta jak z bratem odprowadzał zaprzyjaźnioną już rodzinę niemiecką, która cały swój dorobek życiowy musiała zmieścić na jednym małym wózku. Transporty odjeżdżały ze stacji w Legnicy, do której wysiedleni musieli dotrzeć na piechotę. Najtrudniej było wtoczyć wózek na górę za przejazdem kolejowym. Za pierwszym razem za mostem na Kaczawie, jeden z eskortujących na rowerze milicjantów usłyszał jak rozmawia z bratem po polsku. Wyciągnął ich z kolumny i pogonił do domu. Za drugim razem, przy okazji następnego transportu, już nie rozmawiali między sobą i szczęśliwie pomogli wtoczyć wózek na szczyt góry. Nigdy już nie widział swoich niemieckich kolegów z dzieciństwa.

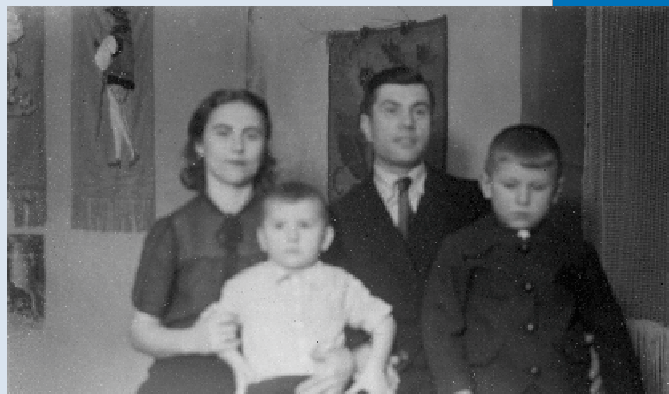

Władek i Leszek na kolanach rodziców - z archiwum rodzinnego

Koniec dzieciństwa

Codziennie ranno przystanek Radomil zapełniał się dojeżdżającymi do Legnicy. W tamtych czasach tylu ludzi dojeżdżało, że nie było czasem gdzie stanąć. W pociągu spotykano się, tu toczyło się życie towarzyskie. Pociąg to była wręcz instytucja.

Technikum samochodowe było szkołą wręcz elitarną. Nie ma nic lepszego niż uczyć się rzeczy, które interesują, robić to co się lubi. Niestety trwało to tylko do trzeciej klasy. Wkrótce zmarł pan Julian i młody Leszek musiał pójść do pracy. Zatrudnił go pan Szumiga, ojciec kolegi ze szkoły oczywiście w warsztacie samochodowym. Wraz ze śmiercią ojca skończyło się dzieciństwo rozpoczął się nowy etap.

Robert Pawłowski

MÓJ PIERWSZY DZIEŃ

Dopóki będą pszczoły, będziemy my

W domu państwa Leonardy i Wiesława Krupskich w Nowym Kościele od razu przy wejściu można zorientować się, czym zajmują się gospodarze. Od progu wita mnie miły zapach świecy z pszczelego wosku. Przyjechałam tu właśnie po to, by zobaczyć, jak wygląda domowy wyrób świec.

Do państwa Krupskich nietrudno jest trafić. Co prawda nie wiodą tu drogowskazy, ale mieszkańcy Nowego Kościoła udzielają rzeczowych informacji. *„To ten dom za mostem. Na prawo koło dębu.”* słyszę.

Na fasadzie budynku czerwona tabliczka informuje, że mieści się tu agencja pocztowa. Pani Leonarda pracuje na dwa etaty: do południa przyjmuje interesantów, a po południu zajmuje się rękodziełem artystycznym.

Wszystko zaczęło się w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy pan Wiesław emerytowany górnik został zmotywowany przez żonę do znalezienia sobie zajęcia. Rodzina wymyśliła, że mógłby zająć się hodowlą pszczół. Początki były trudne i bolesne. *„Żeby pani widziała, jak wiozłem w maluchu w otwartych ulach dwie rodziny pszczele”* śmieje się pan Wiesław. *Kupiłem je od bardzo znanego bartnika - pana Multona, który był po wojnie na Dolnym Śląsku komisarzem d/s przejęcia poniemieckich pasiek na rzecz Polaków. Wiozłem te pszczoły bez siatki, bez daszka. Wyobraża sobie pani, co by było, gdyby one wtedy wyszły.”* wspomina pan Wiesław. *„Kiedy przywiozłem te ule i postawiłem w ogrodzie, musiałem pójść do pszczół. A że niedokładnie dopiąłem siatkę, w pewnym czasie poczułem, że chodzą mi po twarzy. To był z nimi pierwszy i bolesny kontakt. Całe ciało miałem w pokrzywce. Żona chciała mnie wieźć na pogotowie, ale przeszło. Potem było już lepiej. Wszystkiego uczyłem się od starszych pszczelarzy, na przykład tego, że pszczoła nie atakuje ludzi ubranych na biało, za brunetami natomiast przepada. Mój zięć, który ma ciemne włosy, woli już nie wychodzić do pasieki.”*

Pasieka państwa Krupskich obecnie składa się z 50 uli. Dwa z nich stoją przy posesji. *„Pszczoły pilnują sadu.”* śmieje się pani Leonarda. *„Nikt teraz nie ma odwagi, by wejść bez pytania.”*

Mam wrażenie, że pszczoły mogą być pożyteczniejsze od psów. Nie tylko strzegą domu, ale jeszcze robią miód. Moje przypuszczenia potwierdza gospodarz: *„A jaki mają węch. Wyczuwają nawet alkohol. Lepiej nie zbliżać się do ula po kieliszku.*” Niezwykłą zdolność pszczół wykorzystują bartnicy, tresując zwierzęta przed zbiorem pyłku i nektaru. Jeśli pszczelarz chce, wyprodukować tylko miód rzepakowy (a kwitną jeszcze inne rośliny w tym czasie), uczy pszczoły zapachu rzepaku. Kilka kwiatków zaparza się jak herbatę, mocno słodzi i wcześnie rano polewa wyloty z ula. *„Pszczoła jest wierna zapachowi”* wyjaśnia pan Wiesław.

Opieka nad tymi pożytecznymi zwierzętami zajmuje gospodarzom większość czasu. W czasie kwitnienia roślin praca przy pszczołach trwa nawet w nocy. Państwo Krupscy nie tylko hodują pszczoły, ale nieustannie podnoszą swoje kwalifikacje, czego dowodem są liczne certyfikaty i dyplomy, które pan Wiesław z dumą pokazuje. Wynika z nich, że mam przed sobą profesjonalistów. Niezwykle imponuje mi pani Leonarda, która może poszczycić się certyfikatem rzeczoznawcy. *„W powiecie złotoryjskim nikt nie ma takich uprawnień jak moja żona.”* mówi jej mąż. Oboje są skarbnicą wiedzy o czym przyjdzie mi się jeszcze przekonać. *„Staramy się również szkolić innych pszczelarzy i namawiać do podnoszenia jakości hodowli. Przekonujemy, że to się opłaca.”*

Faktycznie miód z certyfikatami, przebadany przez służby weterynaryjne i inspekcje sanitarne (min. w instytucie w Puławach) posiada na wieczku banderolę Polskiego Związku Pszczelarskiego. Jest to dowód na wysoką jakość produktu. Nabywca ma pewność, że w miodzie nie ma żadnych niepożądanych dodatków zanieczyszczeń, antybiotyków itp. *„Taki miód możemy sprzedawać i mamy na niego kupców. Nie musimy szukać pośredników, hurtowników, którzy na pszczelarzach niemało zarabiają. Trafiamy bezpośrednio do klienta.”* wyjaśniają gospodarze.

Naszej rozmowie przysłuchuje się wnuczka państwa Krupskich Paulina. Mimo młodego wieku podziela już pasję swoich dziadków. A oni mają nadzieję, że córka (mistrz pszczelarstwa), zięć i wnuczka kiedyś zajmą się bartnictwem. *„Kupili już nawet kawałek ziemi w Osieku.”* cieszy się pani Leonarda.

W czasie, gdy gospodarze wprowadzają mnie w tajniki hodowli pszczół, na małej kuchence topi się wosk, z którego będziemy robić świece.

Pomysł, by wykorzystać wosk pszczeli do produkcji świec, narodził się ok. 2000 roku. *„To miał być sposób, by łatwiej i skuteczniej zainteresować klienta miodem. Kiedy na stoisku wystawiamy woskowe figurki, mało kto nie zwróci na nie (i miód przy okazji) uwagi.”* tłumaczy pani Leonarda. Jest to działalność uboczna - niezwykle efektowna, lecz pracochłonna. W sam raz na długie jesienno zimowe wieczory. Wosk do produkcji świec wytapia się z ramek, na których pszczoły składają miód. Wielu bartników wyrzuca zawartość ramki po odwirowaniu miodu, państwo Krupscy jednak wykorzystują i ten efekt pracowitości pszczół.

Cały żmudny proces produkcji świec rozpoczyna się od przygotowania figurki matrycy. *„Zwykle robię ją z plasteliny lub modeliny. Wymyślam kształty, postacie. Widzi pani tu mam Babę Jagę, tam kurkę i kogutka. Taką figurkę zalewam płynnym silikonem. Kiedy zastygnie, rozcinam delikatnie i mam już gotową formę.*

Rzeczywiście w pokoju pracowni cały stół zastawiony jest białymi formami. Większość wypełnia stygnący wosk. *„Taki wosk zastyga kilka dni”* objaśnia gospodyni. *„Czy wie pani w jakiej temperaturze topi się wosk, a w jakiej stearyna?”*- pyta pan Wiesław i, przewidując moją niewiedzę, od razu odpowiada: *„Żeby roztopić stearynę wystarczy 70 stopni, pszczeli wosk potrzebuje ok. 100 stopni.”*

Forma jest gotowa. Teraz pani Leonarda zdejmuje z kuchenki garnek z woskiem i ostrożnie wlewa zawartość do silikonowych pojemników obwiązanych, dla zachowania szczelności, gumkami. Płynny wosk ma ciemną barwę, po wystygnięciu stanie się ciemnożółty. Przy zalewaniu formy trzeba uważać, by knot wykonany z bawełnianego sznurka był prosty. Służy temu kawałek rowerowej szprychy, utrzymujący sznurek w pionie. Po zalaniu formy, koniec knota zanurza się w płynnym wosku, żeby się lepiej palił. Silikon i sznurek to jedyne półprodukty, które państwo Krupscy muszą kupić, by uzyskać świece.

Zalane formy gospodyni odstawia na bok, teraz zajmie się wyjmowaniem zastygłych figurek z silikonowych pojemników. Przy tej czynności trzeba zachować ostrożność. Wosk jest kruchy, czasami świeca się łamie. Jednak nie ma powodów do rozpaczy. Zniszczony lub uszkodzony produkt wrzuca się ponownie do garnka i wytapia. Szafa w pokoju wypełniona jest gotowymi do sprzedaży świecami. Jest ich bez liku. W równych rzędach stoją zgodnie anioły i czarownice obok zajączków czy kogutów.

Przyglądam się pracy pani Leonardy i raczę się nalewką miodową domowej produkcji. Nie przymierzając „miód w gębie”. Gospodyni, choć niechętnie, dzieli się ze mną przepisem na ten rarytas i nawet (po namowach) pozwala opublikować: **Tyle wiśni, ile miodu najlepiej wczesnowiosennego, jeszcze płynnego (zwykle po 4 kilo) zalać spirytusem (na te proporcje ok. pół litra), odstawić w słoneczne miejsce, trochę poczekać i gotowe.**

Cieszę się, że tym razem nie jestem kierowcą, bo nalewka uderza do głowy. Dobrze, że mnie teraz pszczoły nie widzą (czują?).

Mimo że zobaczyłam już to, co chciałam i wiem, jak robi się świece z pszczelego wosku, nie opuszczam gościnnych progów domu państwa Krupskich. Rozmawiamy z panem Wiesławem na temat miodu i jego tajemnic. Otrzymuję wartościową lekcję, jak rozpoznawać i odróżniać rozmaite rodzaje miodu i jak ten specyfik przechowywać, by nie utracił swoich walorów smakowych oraz zdrowotnych. Pan Wiesław mówi też o bezpiecznym obcowaniu z pszczołami. Teraz już wiem, jak uchronić głowę przed użądleniem, jeśli pszczoła wplącze się we włosy. Dowiaduję się o szczególnym wzroku tych owadów, które są szczególnie niebezpieczne w nocy. *„Mają oczy jak noktowizor”* mówi pan Wisław. On już nie raz doświadczył niezwykłego daru swoich podopiecznych. *„Na dodatek w nocy nie słychać jak nadlatują. Zachowują się cicho i człowiek nie może się obronić”.*

Pan Wiesław boleje nad tym, ze w Polsce jest coraz mniej szkół kształcących przyszłych bartników. *„Fach zanika, coraz mniej osób chce zajmować się pszczelarstwem, a przecież dopóki będą pszczoły, będziemy i my”* podkreśla gospodarz.

Na koniec pytam o marzenia. Pan Wiesław planuje stworzyć ul do inhalacji. *„To będzie taki zwykły ul, ale otwarty i zabezpieczony siatką. Chodzi o to, by nawdychać się leczniczego zapachu. Tak można leczyć wiele chorób. Sam dzięki pszczołom pozbyłem się reumatyzmu, którego nabawiłem się w kopalni.”* Pani Leonarda myśli, by zrobić nową formę na świece. Miałaby to być replika kościółka św. Jana i Katarzyny w Świerzawie. Nie dziwię się sama jestem urzeczona tą budowlą.

Jak widać marzenia nie są wygórowane. To jest chyba typowe dla ludzi zadowolonych z życia, z tego, co robią na co dzień. Urzeczona ich entuzjazmem opuszczam gościnne progi, mając nadzieję, że nastrój, którym mnie zarazili, nie uleci tak szybko jak alkohol z wypitej nalewki.

Iwona Pawłowska
Zdjęcia: Robert Pawłowski

Prawie jak w raju

Jadąc do pani Elżbiety Telatyńskiej myślałyśmy, że „jedziemy do aniołków”, bowiem każdy na pewno kiedykolwiek słyszał o niebiańskich wysłannikach stworzonych przez artystkę. Weszłyśmy do jej pracowni i przeżyłyśmy miłe zaskoczenie, oprócz aniołków występujących w każdej postaci ujrzałyśmy półki uginające się pod ciężarem pater, mis, sylwetek diabełków i kotów, które same w sobie stanowią ceramiczne arcydzieła.

Gdy przyjechałyśmy pod dom rodziców pani Elżbiety, artystka właśnie była w trakcie tworzenia glinianego wazonu. Na nasze prośby uchyliła nieco rąbka tajemnicy i zademonstrowała sposób jego robienia.

-Robię go od wczoraj - zapewnia, a my nie możemy wyjść z podziwu, gdyż wazon imponuje wielkością i formą. Gotowe pasy gliny układam warstwowo i formuję kształt dzbana czy wazonu. Następnie przy pomocy narzędzi takich jak oczka, szpachelki, skrobaki czy cyklina wygładzam jego powierzchnię.

Jednak naczynie, pomimo to, że jest zachwycające w swej urodzie, nie znajduje wielu nabywców. Wynika to z prostej przyczyny - sklepy, które zajmują się sprzedażą wyrobów pani Telatyńskiej nakładają zbyt dużą marżę na tego typu artykuły. To jednak jej nie zraża, bo w drugiej pracowni widzimy wiele takich wazonów, a każdy z nich jest niepowtarzalny. Zresztą nie tylko one, każdy przedmiot wychodzący spod zręcznych palców artystki jest unikatowy. Nawet z pozoru podobnie wyglądające aniołki, przy bliższym poznaniu okazują się różne, co sprawia, że każdy jest charakterystyczny, indywidualny.

Oprócz prac pani Elżbiety, w drugiej pracowni znajduje się elektryczny piec, gdzie w wysokich temperaturach wypala się gotowe dzieła. Zabieg ten przebiega w dwóch etapach: pierwszym: wypalaniu na biskwit, kiedy temperatura wynosi ok. 700° C i drugim, podczas którego piec nagrzewa się do temperatury 1080-1100 °C. Drugie wypalanie jest bardziej niebezpieczne, istnieje ryzyko, że podczas jego trwania materiał ceramiczny może ulec pęknięciu.

- Problemem jest to, że niektóre naczynia, wazony czy dzbany nie mieszczą się do mojego pieca. Wtedy muszę skorzystać z pomocy sąsiadów, którzy także zajmują się ceramiką. No, a w Dobkowie parają się tym jeszcze trzy osoby. Ale większej konkurencji nie odczuwam, bo każdy tworzy w swoim niepowtarzalnym stylu. To jest po prostu jak charakter pisma. mówi pani Telatyńska, a następnie dodaje Wciąż staram się o dotacje unijne na rozwój warsztatu. Wtedy zakupiłabym większy piec i stworzyłabym pracownię, o jakiej marzę, taką „z prawdziwego zdarzenia”.

Piec, który posiada artystka, dużo ją kosztował, zakupiła go za odszkodowanie po poważnym wypadku, który na szczęście nie pozostawił po sobie wielkiego śladu.

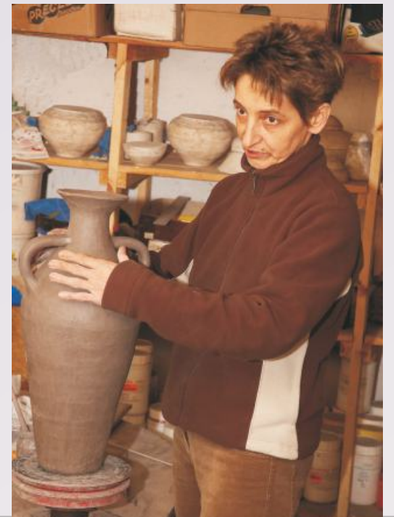

Lecz to problem pracowni nurtuje artystkę najbardziej. Obecnie pani Elżbieta pracuje w dwóch pomieszczeniach, w tym jedno musi dzielić z warsztatem taty. Drugie pomieszczenie nie jest ogrzewane i praca w okresie zimowym to nie lada sztuka.

-Grabieją palce, tężeje farba. Nie ma sensu wtedy pracować, bo i tak nic dobrego nie wyjdzie- mówi zmartwiona artystka. A to właśnie tu słynne wyroby ceramiczne poddawane są ostatniej obróbce, po wypieczeniu szkliwi się je, ozdabia rafą, a także maluje akrylami, jeśli wypiekane były tylko raz.

Sporo miejsca na półce zajmuje imponujący kot stworzony przez młodszego syna pani Elżbiety, Łukasza, który obecnie odbywa służbę wojskową. Artystka z dumą pokazuje nam dzieło syna i bawi się miedzianymi wąsami sympatycznie wyglądającego kota. To właśnie Łukasz często pomagał mamie w pracy. Wykonywał okolicznościowe obrazy wyciskane na glinianej tabliczce czy formował małe wózki ze złotem - symbol Złotoryi.

- Chciałabym, żeby w przyszłości przejął interes, ale wiem, ze ma swoje plany na przyszłość i nie mam zamiaru ich komplikować.- podkreśla artystka.

Drugi syn pani Elżbiety - Arek, ukończył nasze, złotoryjskie LO. To dzięki jego namowom prace pochodzące z dobkowiańskiej pracowni sprzedawane były na szkolnym kiermaszu. Obecnie mieszka i pracuje w Irlandii, gdzie, jak wielu naszych rodaków, przy okazji szlifuje język.

- Jako jedyny sprawnie posługuje się angielskim, więc jest „łącznikiem” miedzy szefem, Irlandczykiem i pracownikami. - uśmiecha się pani Elżbieta

Prace pochodzące z warsztatu pani Telatyńskiej cieszą się dużym zainteresowaniem zarówno w kraju, jak i za granicą:

-Klienci z Niemiec są bardziej wymagający, ale zarazem hojniejsi.- zauważa. Prowadzę też sprzedaż internetową i współpracuje z „Cepelią”, ale tam coraz częściej docenia się masową produkcję niż unikalność wyrobów ceramicznych. A przecież takie „chińskie masówki” to najgorsze, co może się nabywcom przytrafić. Indywidualny klient docenia raczej rękodzieło, a ja wszystko robię ręcznie.

Rozglądając się po pracowni pani Elżbiety, trudno jest uwierzyć, że wszystko zaczęło się tak niespodziewanie. Niegdyś artystka pracowała w pewnym jeleniogórskim biurze projektów, bowiem od zawsze miała manualne zdolności. Z ceramiką zetknęła się u zaprzyjaźnionej pary, mieszkającej w Dobkowie. Poprosiła ich o parę doniczek z gliny, które były jej potrzebne do wykonania wielkanocnych stroików (tu trzeba dodać, że pisanki w wykonaniu pani Telatyńskiej to małe dzieła sztuki, zachwycają nasyconymi barwami i ciekawymi wzorami). I w końcu sama zaciekawiła się „obróbką” gliny. Owi sąsiedzi, pani Ania i pan Roger pozwalali podglądać swoją pracę, ale tajniki sztuki pani Elżbieta musiała poznawać sama.

-Proporcje poznałam metodą prób i błędów- mówi.- Dlatego jestem otwarta dla sąsiadów zajmujących się, tak jak ja, ceramiką. Sama w pewnym czasie otrzymałam pomoc od „wolnych” artystów. Dzięki nim odkryłam to, czego w głębi serca szukałam całe życie.

Dobrą reklamą i sposobem promocji są liczne święta, takie jak np. Jeleniogórski Wrzesień, Święto Wina w Środzie Śląskiej czy okolicznościowe wystawy towarzyszące konferencjom na temat współpracy Euroregionu Nysa. Wtedy to dzieła pani Elżbiety cieszą się dużym zainteresowaniem. Nie ma się co dziwić, spod jej zręcznych rąk wychodzą sympatyczne kotki, damy w kapeluszach, wielkanocne jeże na rzeżuchę, wazony, patery, anioły oraz doniczki. Pracownia w Dobkowie może nie jest imponująca pod względem wielkości, ale wchodząc do niej, czujemy się jak w Raju. Ze wszystkich stron spoglądają na nas opiekuńcze anioły. Zachwycają swą różnorodnością, kolorami oraz skromną, ale wyrazistą i charakterystyczna formą. Zauroczone słuchałyśmy opowieści pani Elżbiety o jej pracy, która zarazem jest wielką pasją. To jej życiowa droga. Tworząc swoje małe arcydzieła, czuje się jak najbardziej spełniona, a duże zainteresowanie jej wyrobami ceramicznymi sprawia, że jest to opłacalny zawód - połączenie przyjemnego z pożytecznym.

-To, co robię na pewno nie wynikło z przypadku.- mówi artystka - W życiu nie ma takich przypadków.

Martyna Borysioneki Aleksandra Falęcka
Zdjęcia: Ryszard Masłowski

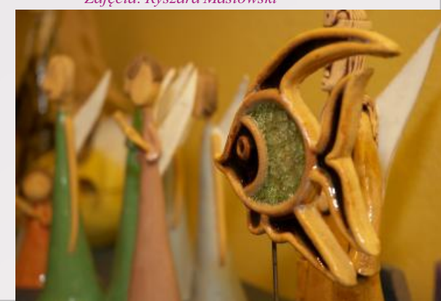

CECH - REAKTYWACJA

CECH organizacja, która w XVII XVIII w. skupiała kilkanaście do kilkudziesięciu warsztatów rzemieślniczych. Jej członkowie byli obowiązani sprzedawać swoje wyroby na tych samych targach czy jarmarkach. Cech stanowił oparcie w wypadkach losowych, zapewniał wdowie po majstrze utrzymanie warsztatu, dawał zapomogi, ułatwiał organizację pogrzebów. Cech stanowił też rodzaj bractwa religijnego, umacniał poczucie więzi społecznej z własną grupą zawodową i z całym miastem. Powiada się, że cech rzemiosł to najstarsza jednostka samorządowa w Polsce, bowiem zrzesza zarówno pracodawców, jak i pracowników, czy też uczniów.

Cech Rzemiosł Różnych w Złotoryi taka niewielka tabliczka z białymi literami na czerwonym tle wisi na ścianie budynku Urzędu Pracy przy al. Miłej 18. Niewielu złotoryjan wie co się kryje za tym napisem. Tutaj ma swoją siedzibę reaktywowana w 2002 r. organizacja cechowa..

Pokój zajmowany przez cech mieści się na piętrze w starym skrzydle Urzędu Pracy. Ma wygląd bardzo skromny. Na wyposażenie składa się biurko, komputer, kilka szaf na dokumenty, dwa fotele pamiętające lepsze czasy, stolik dla gości. W gablocie za szkłem dumnie rozpięty sztandar Cechu z ogromnym orłem wyhaftowanym srebrną i złotą nicią. Z dawnych czasów pozostała też kronika duża księga ze starannie wypełnionymi kartami,

pieczołowicie wklejonymi zdjęciami. Ale to przeszłość.

Właściwie to cech w Złotoryi nigdy nie został wyrejestrowany twierdzi Jan Worsztynowicz, były Starszy Cechu, lecz jedynie w 2001 r. wygasła jego działalność.

W latach dziewięćdziesiątych, po zmianie ustawy o rzemiośle, która zniosła obowiązek przynależności do cechu rzemieślniczego i wprowadziła dowolność, ilość członków cechu drastycznie spadła. Z powodu braku składek nie było funduszy na działalność bieżącą. Na taki stan miała też wpływ kontrowersyjna sprzedaż rozpoczętej budowy Domu Rzemiosła przy pl. Niepodległości. Za tę sprzedaż uzyskano wówczas (koniec lat 90-tych) kwotę 65 000 zł. Niektórzy twierdzili, że tak niska kwota to skandal. Spowodowało to odejście od cechu kolejnych rzemieślników.

To dla mnie bardzo bolesna sprawa wspomina Jan Worsztynowicz, ponieważ osobiście zaangażowałem się w budowę Domu Rzemiosła. Z wielkim trudem udało nam się uzyskać pieniądze ze specjalnego funduszu. Przekonywałem rzemieślników, aby również oni wspierali finansowo, w miarę swoich możliwości, tę budowę. Niestety, nie miałem wpływu na decyzję ówczesnego zarządu o sprzedaży. Zarząd ten doprowadził też do sprzedaży wszystkich aktywów cechu. Kasa była pusta. Za uzyskane ze sprzedaży Domu Rzemiosła pieniądze stary zarząd kupił lokal usługowy od komornika sądowego przy ul. Hożej 5. W lokalu tym swoją działalność prowadziła fryzjerka. Twierdziła, że to właśnie ona ma prawa do lokalu. Nie mogliśmy go użytkować. I tak cech za jednym zamachem pozbył się obu siedzib. Pozostał bez dachu nad głową.

Wtedy właśnie w 2001r. skończyła się jego działalność. Niektórzy mówili, że to koniec cechu.

Były Starszy Cechu i były prezes Izby Rzemieślniczej Jan Worsztynowicz ze swoim przyjacielem Marianem Gratkowskim nie dali za wygraną. Postanowili, że odzyskają cech, tradycje i dobre imię złotoryjskiego rzemiosła. Swoim energicznym działaniem zarazili innych rzemieślników. Raz jeszcze okazało się, że w trudnych chwilach brać rzemieślnicza może liczyć na siebie. Doprowadzono do walnego zgromadzenia członków cechu 27 kwietnia 2002 r. Na to spotkanie zaproszono Honorowego Starszego Cechu Aleksandra Pawłowskiego. Ta kultowa postać jest nestorem i guru wielu złotoryjskich rzemieślników. Pan Aleksander obecnie na emeryturze prowadził działalność w zakresie instalatorstwa elektrycznego od 1946 r.

- Zrobiliśmy zrzutkę na zabezpieczenie podstawowych spraw organizacyjnych wspomina Jan Worsztynowicz. Na koncie cechu nie było żadnych pieniędzy. Przecież musieliśmy zorganizować to zgromadzenie!

- Jesteśmy bardzo wdzięczni Staroście Złotoryjskiemu panu Ryszardowi Raszkiewiczowi za pomoc w tych trudnym dla cechu czasie zaznacza Marian Gratkowski, wieloletni rzemieślnik. To właśnie Starosta udostępnił nam nieodpłatnie salę w Starostwie na pierwsze walne zgromadzenie. Również obecny lokal uzyskaliśmy dzięki jego przychylności. Za wynajem lokalu płacimy niewielkie pieniądze. To dla nas bardzo ważne, gdyż utrzymujemy się wyłącznie dzięki składkom członkowskim.

Nowy zarząd postawił sobie za cel przede wszystkim odzyskanie lokalu po fryzjerce. Zaczęła się batalia o lokal. Nowy Starszy Cechu Stanisław Dacka aktywnie popierał to działanie. Przez kilka lat nowy zarząd reaktywowanego cechu procesował się z komornikiem, byłym właścicielem lokalu, aby doprowadzić do eksmisji fryzjerki. Za zajmowanie lokalu nie płaciła nikomu. Proces był utrudniony, gdyż poprzedni zarząd zostawił bałagan w dokumentach. W końcu po kilku latach sprawa została wygrana przez rzemieślników i lokal odzyskano. Ale Cech już wtedy prowadził działalność w innym lokalu.

Ustanowiono kierunki działań. Z najistotniejszych to było doprowadzenie do zatrudnienia etatowego pracownika. Do niego należy dbałość o ściąganie składek, prowadzenie księgowości, zawieranie umów z uczniami, rozwiązywanie problemów na styku uczeń rzemieślnik, współpraca ze szkołami, pomoc w załatwianiu spraw emerytalnych byłym rzemieślnikom i wiele innych spraw. Inne ważne sprawy na początek to było szkolenie młodych adeptów sztuki rzemieślniczej, podnoszenie kwalifikacji dotychczasowych rzemieślników, organizowanie szkoleń dla nowych członków cechu.

Ponadto nowy zarząd doprowadził do spotkania z burmistrzem Ireneuszem Żurawskim, który obiecał wspomóc złotoryjskich rzemieślników poprzez popieranie ich w przetargach, aby nie musieli szukać zleceń poza Złotoryją.

Mało kto wie, że na Zachodzie honorowany i bardzo poważany jest dyplom nie tylko mistrza, ale też czeladnika wydany przez Izbę Rzemieślniczą. Zwłaszcza u naszych niemieckich sąsiadów. Egzamin na czeladnika zamyka cykl kształcenia w szkole zawodowej. Cech złotoryjski współdziała w tym zakresie ze szkołą zawodową. Specjalnie wytypowane tzw. *trójki rzemieślnicze* odwiedzają często szkołę zawodową i pytają o postępy uczniów, z którymi cech ma podpisane umowy.

Możemy się pochwalić, że szkolimy 220 uczniów mówi z dumą Krystyna Gołębiowska, kierowniczka biura cechu. Mamy jedno z pierwszych miejsc w województwie dolnośląskim. Uważam, że to dobry wynik.

Jednym z aspektów działalności cechu to dbałość o etykę zawodową. W ramach cechu działa Sąd Cechowy, który zajmuje się przypadkami niedbałego wykonywania zleceń przez członków cechu. Jeżeli wpływa skarga, Sąd to rozpatruje i w przypadku udowodnienia winy rzemieślników zobowiązuje go do usunięcia usterek, bądź usunięcia szkód.

Nasi członkowie, to w większości solidni wykonawcy twierdzi Krystyna Gołębiowska. Wymagamy uczciwości od naszych rzemieślników. Przecież oni reprezentują tradycje cechu sięgające wielu pokoleń wstecz!

Obecnie trwa druga kadencja cechu po reaktywacji. Starszym Cechu został wybrany ponownie Stanisław Dacka, a członkami Zarządu są Ryszard Koszelowski, Krzysztof Drzewiecki i Andrzej Podsiadło.

Z tradycji cechowych wynika, że powyższe aspekty działalności to tylko ułamek z tych, które ten cech powinien wypełniać. Dobrowolność przynależności do cechu powoduje brak zrozumienia wśród drobnych przedsiębiorców dla istnienia cechu. A to właśnie tym drobnym rzemieślnikom cech byłby najbardziej potrzebny. Mało pozyskuje się nowych członków do organizacji. Brak nowych pomysłów jak zareklamować cech. Brak nowych członków powoduje brak nowych składek, a tym samym funduszy na szerszą działalność. Zarząd, niestety, wykazuje zbyt mało inicjatywy w tym zakresie. Nie stara się rozreklamować cechu i jego działalności. Bazuje się na rzemieślnikach, których średnia wieku przekracza 50 lat. Zbyt łatwo rezygnuje się z namawiania i przekonywania nowych rzemieślników do nowych inicjatyw. Obecnie złotoryjski cech zrzesza 43 członków.

Mamy nadzieję, że tym artykułem wywołamy dyskusję na łamach naszego pisma wśród rzemieślników i mieszkańców ziemi złotoryjskiej. Jesteśmy przekonani, że wymiana poglądów pomoże nam wszystkim spojrzeć z innej perspektywy na Cech, przyszłość rzemiosła i sens istnienia takich organizacji.

Agnieszka Młyńczak
Zdjęcie pochodzi z archiwum Cechu

NA JEDNO KOPYTO...

Szewstwo to był najważniejszy i najbardziej rozpowszechniony cech skórników. Szewc należał do najbardziej znanych i wszędzie spotykanych zawodów rzemieślniczych. W małych miejscowościach szewcy stanowili ponad połowę wszystkich rzemieślników. W Złotoryi w 1800 r. działało 70 szewców. W 2007 r. działalność prowadzi tylko dwóch.

Agnieszka Młyńczak: *Jak to się stało, że został pan szewcem?*

Kazimierz Góra: Zupełnie przypadkiem. Gdy w 1965 r. nie dostałem się do wymarzonej szkoły radiotechnicznej, podjąłem naukę w klasie szewstwa w szkole wielozawodowej w Bolesławcu. Znajomy zaproponował mi, że będę mógł praktykować w jego warsztacie. Zawodu właściwie nauczyłem się u niego.

A.M.: *Od kiedy prowadzi pan swój zakład?*

K.G.: Obecny zakład w Złotoryi przy Rynku 50 prowadzę już 28 lat.

A.M.: *Czy miał pan pracowników, uczniów i czy oni kontynuują pracę w tym zawodzie?*

K.G.: W latach 1970 1992 oprócz napraw szyłem buty na zamówienie. Ponieważ w tamtych latach w polskich sklepach nie było modnego obuwia, miałem sporo zamówień. Szyłem też buty nietypowych rozmiarów. Miałem zamówienia z zagranicy: z Niemiec, USA, Austrii, a nawet z Australii. Kiedyś w moim zakładzie było zatrudnionych 4 szewców i jeden cholewkarz. Uczniowie praktykowali stale. Zakład tętnił życiem. Nie wiem jakie były dalsze losy moich uczniów i pracowników.

A.M.: *Dlaczego cholewkarz? Jaka była jego rola w pańskim zakładzie?*

K.G.: Zawód cholewkarza jest spokrewniony z szewskim. Muszę wytłumaczyć szerzej, aby pani zrozumiała.
Otóż but składa się z podeszwy i cholewki... Ale lepiej zacznę od początku.

A.M.: ***Właśnie, proszę opowiedzieć jak powstaje but w zakładzie szewskim.***

K.G.: Znaczy, taki na miarę?

A.M.: *Tak, oczywiście!*

K.G.: Najpierw musi być klient, który zechce zamówić obuwie. Następnie trzeba zdjąć miarę: długość stopy, szerokość w palcach, wysokość podbicia. No i jeszcze objętość łydki w przypadku buta z wysoką cholewką. Cholewki, czyli wierzchy, dostarcza, lub produkuje w zakładzie szewca, cholewkarz. Do produkowania tego typu asortymentu potrzebne są zupełne inne umiejętności niż szewca. To jest właściwie odrębny zawód. Ale obaj muszą ze sobą współpracować.

ZALECENIA HIGIENICZNE DLA SZEWCÓW
Z przepisów cechowych XV XVIII w., ze względu na złe warunki zdrowotne w zawodach skórniczych
- *Zabraniano jedzenia na ulicy.*
- *Nakazywano mycie rąk przed posiłkiem.*
- *Nakazywano mycie głowy w sobotę.*
- *Zalecano umycie się przed pójściem do łoża.*
- *Czeladnik, który kładł się na łóżku w butach, był karany grzywną.*
- *Zabraniano pracy przy sztucznym oświetleniu.*
- *Zabraniano prania sukna w sobotę po nieszporach.*
- *Zabraniano pracy w święta.*
- *Czeladnik lub majster, który w brudnych sukniach lub z gołymi nogami pokazałby się na rynku lub na przechadzce, ma być karany grzywną.*
- *Żaden z majstrów niech się nie waży chodzić boso do bractwa, kościoła czy na pogrzeb, albo wychodzić boso na ulicę.*

Stosowanie się do przepisów kontrolowano przy pomocy specjalnych służb. Kto ich nie przestrzegał, płacił grzywnę.

A.M.: *Czy były jakieś wzory cholewek? Można było wybierać?*

K.G.: Tak, cholewkarz oferował bardzo dużo cholewek: z zamkiem, bez zamka, dłuższe, krótsze, proste, fantazyjne, itd. Linie wykroju odrysowywano według ustalonych szablonów. A zatem do zamówionego obuwia cholewkę, czyli wierzch musiał uszyć cholewkarz.
Dalej szewc musiał dopasować odpowiednie kopyto do wymiaru stopy.

A.M.: *To tych kopyt musiało być sporo? Chyba trzeba było mieć na to dużo miejsca?*

K.G.: Dziesiątki par! W moim zakładzie cała jedna ściana od góry do dołu była zastawiona regałem z różnymi rozmiarami kopyt. Były one wykonane z drewna. W XIV wieku szyto buty *na jedno kopyto*, tzn. lewy i prawy but tak samo. Dopiero po dłuższym noszeniu można było odróżnić but lewy od prawego. Dopiero później wykonywało się kopyta parami.
No i jak już się dopasowało rozmiar kopyta do stopy, to należało wykroić podpodeszwy. To jest taka niby wkładka w środku buta. Następnie wykrawa się zakładki fragment buta na pięcie i zaczyna się ćwiekowanie.
Ćwiekowanie polega na tym, że na drewniane kopyto naciąga się wierzch obuwia, a potem

Szewskie przysłowia:
-Poznać pana po cholewach mawiano w siedemnastowiecznej Polsce.
- Robić coś na jedno kopyto.
- Wszystko na jedno kopyto zrobione.
- Przerobić kogoś na swoje kopyto.
- Poniedziałek pierwszy dzień, nic nie trzeba robić weń.
- Kręci jak szewc skórą.
- Szewc chodzi bez buta, krawiec bez surduta.

przybija się ten wierzch długimi gwoździami. Do tak unieruchomionego wierzchu przykleja się podpodeszwę
Kiedy klej wyschnie, ćwieki się usuwa. Ale na kopycie pracuje się dalej.
Kiedyś, gdy kleje nie były tak powszechne, wierzch do podpodeszwy był przyszywany ściegiem co pół centymetra. Szewcy używali do tego szydła i dratwy. Ale kiedyś buty były ze skóry, a nie z papieru, jak teraz. Na koniec przyklejamy podeszwę, dorabiamy obcas gotowy lub wykonujemy go sami.

A.M.: Robił pan obcasy? Jakie?

K.G.: Kiedyś były obcasy drewniane, nie plastikowe, jak teraz. To do damskiego obuwia. Są też obcasy płaskie. Nakleja się je warstwa po warstwie: skóra i guma. Obcasy robiło się też z tektury.

A.M.: Z tektury? Do butów? Nie przemakało?

K.G.: Tak, pamiętam że robiło się tekturowe obcasy. One były nawet twardsze niż skórzane. Skóra nasiąka wodą i rozłazi się. Tektura na obcasach odpowiednio zaimpregnowana nie nasiąkała wodą, była trwała.
Na zakończenie należało wykonać obróbkę: szlifowanie brzegów, malowanie podeszew, wygładzanie.

A.M.: Jakich narzędzi używało się do tego? A czym się malowało buty?

K.G.: Do szlifowania używało się tarnika, papieru

ściernego. Jest również do tych czynności specjalna maszyna *(na zdjęciu - pan Kazimierz prezentuje maszynę do szlifowania)*. Wygładzało się kulisem (gładzikiem). Natomiast do malowania używana była anolina, orion barwników do skór. Teraz już się tego nie używa. Obcasy czerniono czernidłem i pociągano gorącym woskiem z pomocą ambusa.
Na koniec wyciąga się kopyto i produkt jest gotowy.

A.M.: *A może pan opowiedzieć o jakichś ciekawostkach? Zdarzeniach, które utkwiły panu w pamięci szczególnie?*

K.G.: Pamiętam, że kilkanaście lat temu pewien klient z Wilkowa zamówił buty. Przy pobieraniu miary okazało się, że miał on stopę długości 49,5 cm! Takiego wielkiego kopyta nie miałem w swoim zakładzie. Musiałem je sprowadzać aż z Białej Podlaskiej (pod wschodnią granicą przyp. EZ). Ten klient wyprowadził się później z Wilkowa, ale poprosił mnie o to kopyto, aby mógł gdzie indziej szyć sobie buty.
Inne zdarzenie: w 1992 r. w moim zakładzie zostały uszyte specjalne buty do konnej jazdy. Klientem był miłośnik koni, który przebywał z wizytą u znajomych w Złotoryi. Pan ten był bardzo zadowolony z usługi i suto zapłacił całemu zespołowi.

A.M.: *Czy teraz szyje pan buty? Czy podjąłby się pan wykonania nietypowego obuwia?*

K.G.: Niestety! Takie warsztaty jak mój są wypierane z rynku przez tani import. Ponoć można kupić teraz buty za pięć złotych! Obuwie na miarę jest znacznie, znacznie droższe. Dlatego teraz musiałem ograniczyć działalność do szeroko pojętej naprawy obuwia, to znaczy zelowanie butów, wymiana obcasów, łatanie, wszywanie zamków, naprawa podeszew, rozciąganie obuwia i inne drobne naprawy.

A.M.: *To smutne. A ma pan może następców?*

K.G.: Na razie nie ma. Teraz działalność prowadzę sam, a do zawodu szewca przyucza się zięć, który nie może znaleźć pracy w swoim wyuczonym zawodzie. Ale jego dwaj synowie w wieku 10 i 12 lat chętnie przyglądają się pracy ojca.

A.M.: *Może dzięki nim będziemy mogli ocalić od zapomnienia zawód zwany szewcem?*
Dziękuję za rozmowę.

rozmawiała Agnieszka Młyńczak
zdjęcie: Agnieszka Młyńczak

Najpiękniejsza Kobieta Świata

W niedzielę 4 lutego w Sali ZOKiR w Złotoryi mogliśmy zobaczyć spektakl w wykonaniu Krzysztofa Grabowskiego pt. „Najpiękniejsza Kobieta Świata".

Krzysztof jest absolwentem Liceum Ogólnokształcącego w Złotoryi a obecnie studentem czwartego roku Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu.

***E&M:** Zapewne aktorstwo było Twoim marzeniem od dziecka?*

K.G: Dokładnie nie przypominam sobie, kiedy aktorstwo zaczęło mnie inspirować. Pamiętam, że od małego byłem typowany do mówienia wierszyków, przedstawiania ważnych ról, wręczania kwiatów itd. Lubiłem to robić. Jako mały chłopiec oglądałem w telewizji mnóstwo kabaretów i widząc te same drugi czy trzeci raz umiałem je już na pamięć. Wtedy mama zabierała mnie do zakładu pracy i tam mówiłem całe skecze kabaretowe przed mamy koleżankami z pracy. One zakochiwały się w tym, co mówiłem, a ja byłem w niebiosach, że ktoś docenia moje zmagania.

***E&M:** Czy była jeszcze jakaś alternatywa dla aktorstwa?*

K.G: Od początku czasów licealnych fascynowało mnie aktorstwo, ale również i prawo. Zamiłowanie do prawa było spowodowane m.in. tym, że jako uczeń pierwszej klasy napisałem pracę, dzięki której otrzymałem mandat posła na Sejm Dzieci i Młodzieży w Warszawie. Lecz w drodze wyboru poszedłem do szkoły teatralnej. To było to, co kocham najbardziej.

***E&M:** Jak podjąłeś decyzję o wyborze szkoły?*

K.G: Studiuję na czwartym roku, na wydziale lalkarskim. Wszystko, dlatego, że jeszcze przed szkołą pracowałem rok w Teatrze Modrzejewskiej w Legnicy. Większość najlepszych aktorów tam grających, ukończyła ten wydział lalkarski i dlatego też chciałem pójść w ich ślady. To skłoniło mnie do podjęcia takiej decyzji. Od zawsze również chciałem grać w Teatrze Dramatycznym.

***E&M:** Czy studia wymagają od Ciebie dużego wysiłku?*

K.G: Jak ktoś bardzo lubi teatr, to jest to niesamowita sprawa, natomiast trzeba powiedzieć, że jest ciężko. Zdarza się tak, że w szkole przebywam od 8.00-23.00. Mam tylko chwilę na jakąś bułkę czy zupę. W sobotę i niedzielę również. Profesorowie nie zmuszają nas do nauki, to my musimy się umawiać, piszemy podania, aby dostać pozwolenie nadgodzinnego przyjścia do szkoły. Często są kłótnie między studentami o sale, każdy chce robić jak najwięcej prób. Do tego trzeba podchodzić z niesamowitą pasją.

***E&M:** Jakie wydarzenie wbiło Ci się najbardziej w pamięć z tego okresu?*

K.G: Najciekawszym momentem był początek szkoły i tzw. Fuksówka. Jest to coś w rodzaju otrzęsin pierwszaków. Trwa cały miesiąc. Trzeba nauczyć się na pamięć pseudonimów starszych kolegów ze szkoły. Drugi rok to są zawsze „niełaskawi Państwo", trzeci „w-ce mistrzowie" a czwarty „mistrzowie". Poza tym każdy student ma indywidualną ksywę. Dla przykładu : łaskawy pan „a nad to miał proces i sprawę graniczną a prędzej proces wygrałby z szatanem…". Widząc starszego studenta musiałem przywitać go jego ksywą, powiedzieć swoją, przedstawić się i życzyć mu miłego dnia. Mój „pseudonim" powinien być pięć razy dłuższy. I tak każdego trzeba było witać z osobna. Poza tym, należało mieć wielkie, drewniane dechy, które trzeba było nosić na plecach całymi dniami wszędzie. Tablica taka zawierała zdjęcia, imię, nazwisko, informacje skąd się jest, zawód, imiona rodziców, itd. W tym okresie czasu istnieją również zakazy noszenia czarnego koloru, picia alkoholu, palenia, przeklinania itd. Oprócz tego każdy dzień ma swoja nazwę i trzeba się odpowiednio przebrać. Codziennie wieczorem należy przygotować spektakl całym rokiem czy różnego rodzaju etiudy. Przez ten miesiąc po prostu się nie śpi. Taka Fuksówka trwa od 8.00 do 3.00 w nocy.

***E&M:** Czujesz pasję w tym co robisz, nie żałujesz wyboru?*

K.G: Zdecydowanie nie żałuję! Jestem wdzięczny przede wszystkim rodzicom, że pozwolili mi robić to, co kocham. Daje z siebie wszystko i staram się wykonywać ten zawód najlepiej jak potrafię.

***E&M:** Jak wyglądają egzaminy?*

K.G: Każdy rok ma inaczej. Na pierwszym są to rzeczy elementarne, które trzeba mówić, recytować- różnego rodzaju teksty (proza, wiersze). Są elementy planu żywego, koncert piosenki aktorskiej - i to podlega ocenie. Spektakle robi się całym rokiem, grupą, w parach - różnie. Jest też kilka sprawdzianów teoretycznych. Czwarty rok to koniec szkoły, więc cały czas pracuje się nad spektaklem dyplomowym. Ponadto trzeba napisać pracę magisterską na temat wybrany przez siebie. Po ukończeniu szkoły otrzymuje się Dyplom Aktora i tytuł Magistra Sztuki.

***E&M:** Jak wygląda Twoje życie poza szkołą?*

K.G: Spotykam się z dziewczyną od siebie z roku, więc również przyszłą aktorką, której dzisiejszy spektakl był zadedykowany. Stąd też pojawiło się na końcu: „Hania- Najpiękniejsza Kobieta Świata". Poza życiem prywatnym, pod koniec trzeciego roku studiów zacząłem pracować w teatrze zawodowym. Na tym najbardziej mi zależało i udało się. Stąd pochodzi reżyser spektaklu Andrzej Szubski. Pracuje z nim od siedmiu lat. Jest to nasz czwarty monodram. Często gramy tę samą postać, dublujemy się nawzajem. I to jest świetne! Ostatnio również wszedłem w główną rolę w bajce „Momo".

***E&M:** Co możesz powiedzieć o dzisiejszym spektaklu?*

K.G: Spektakl powstał na podstawie opowiadania J. Pilcha z książki „Moje pierwsze samobójstwo"„Najpiękniejsza Kobieta Świata" jest monodramem. Uwielbiam tę formę. Jest to totalny kunszt aktorski, sprawdzający wszelkie aspekty tej dziedziny. Właśnie to jest najtrudniejsze, kiedy występuje się na scenie bez partnera. Jestem tylko ja i publiczność. Uwielbiam to.

Rozmawiały Monika Kozubska i Ewa Derbisz

Zdjęcie z plakatu Krzysztofa Grabowskiego

Rowerowa ścieżka marzeń

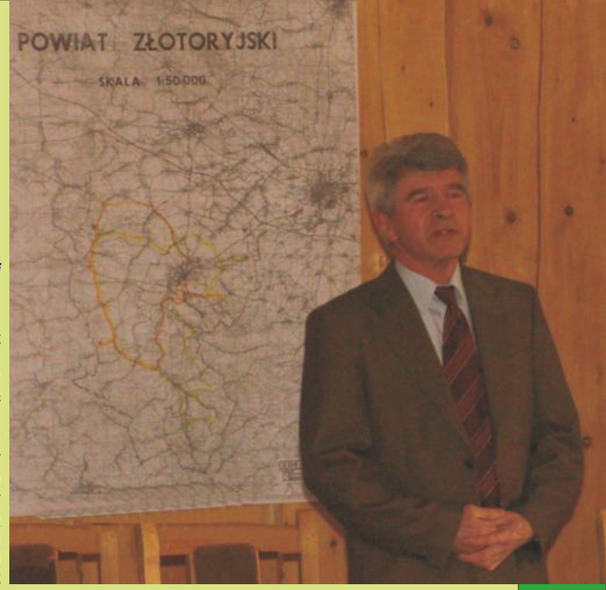

W dniu 6 lutego br. z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej odbyło się w Złotym Lesie spotkanie na temat budowy powiatowej ścieżki rowerowej. TMZZ zwraca się z propozycją, ale i pytaniem do złotoryjskiej społeczności: czy budowa takiej ścieżki nas interesuje?

Przedstawiamy pomysł, lecz sami go nie zrealizujemy. Zachęcamy wszystkich zainteresowanych, bo prawdopodobnie taka możliwość, jak w tym roku, już się nie powtórzy.

Magdalena Przydryga: Skąd taki pomysł?

Aleksander Borys - prezes TMZZ: Gdy okazało się, że Polska ma otrzymać z UE ponad 60 mld euro, zapewne wszyscy w całej Polsce zastanawiają się, co można zrobić, aby część tej kwoty wykorzystać dla swojego terenu. Myślą o tym także nasze władze gminne i powiatowe. I są tego efekty. W swoim zamyśle chcielibyśmy zrobić coś dodatkowego, coś obok tego, co już realizują samorządy, zakłady pracy czy nawet poszczególni obywatele. Chcielibyśmy zachęcić i zorganizować całą społeczność złotoryjską do wybudowania ścieżki rowerowej, która pozostanie na naszej ziemi na zawsze. I właśnie na to chcemy uzyskać środki z UE.

MP: Unia Europejska tak po prostu daje pieniądze?

AB: Oczywiście nie daje. Ale równocześnie ciągle słyszymy o niewykorzystanych środkach z UE. Nasz pomysł wymaga przygotowania, wnikliwych konsultacji, opracowania projektu. Wymaga też dużego lobbingu. Zdajemy sobie sprawę z tego, że turystyka jest jednym z podstawowych warunków rozwoju okolicy, miasta czy państwa. Chcielibyśmy, by nasze działania stanowiły podstawę do łatwiejszego podejmowania decyzji o przyszłości naszego miasta. Dzisiaj właśnie zrobiliśmy pierwszy krok.

MP: Wszędzie są ścieżki rowerowe.

AB: Ale nigdzie nie ma pięknego Pogórza Kaczawskiego. Ponadto mamy jeszcze na naszej ziemi coś, czego nie ma nikt w Polsce trzy „siostry" bazaltowe: Wilczą Górę, Ostrzycę i Grodziec; wspólnie zdobią złotoryjską ziemię, ale każda z nich występuje właściwie oddzielnie. Nasz pomysł polega na tym, aby połączyć te góry profesjonalną ścieżką rowerową, tak aby można było przyjechać do Złotoryi, zanocować w hotelu, obejrzeć film o eksploatacji bazaltu, o technologii górniczej, o historii Wilczej Góry. Następnie obejrzeć film o historii zamku w Grodźcu, a może uczestniczyć w odbudowie zamku czy w tradycyjnym śniadaniu na zamku z kasztelanem. Zobaczyć film o historii Ostrzycy, o historii całej ziemi złotoryjskiej. A następnie wsiąść na rower i zobaczyć to wszystko osobiście. Jakaż to przygoda! Może jestem zbyt dużym optymistą, ale myślę, że w ten sposób moglibyśmy promować Ziemię Złotoryjską.

MP: Kto miałby zbudować ścieżkę?

AB: To się oczywiście samo nie zrobi. Wymaga to wielkiej, zorganizowanej pracy całej społeczności. To powinno nas zjednoczyć. W moim przekonaniu będą efekty w rozwoju ziemi złotoryjskiej, takie jak wówczas, gdy Złotoryja wydobywała i sprzedawała złoto. Nieoceniony Alfred Michler przypomniał nam kiedyś myśl mistrza: „jeśli każdy człowiek na całym świecie zrobi mały krok, to można zmienić oblicze świata". Jeśli nasza społeczność zaaprobuje pomysł, jeśli potraktujemy go jako wspólne zadanie, jeśli każdy zrobi „mały krok" a jest nas przecież 50 tysięcy możemy zmienić oblicze Ziemi Złotoryjskiej.

MP: Czy społeczna praca byłaby dokumentowana?

AB: Oczywiście. Większość środków możemy dostać z funduszy pomocowych, ale jednak konieczny jest wkład własny. I właśnie za ten wkład własny będziemy wszystkim publicznie dziękować. Chciałbym, aby był on zapisany w księgach Złotoryi; aby byli tam zapisani wszyscy darczyńcy, burmistrzowie, wójtowie i starostowie tego okresu. Bo to przecież od nich zależeć będzie realizacja tego pomysłu. Już zresztą mamy deklarację wpłaty 10 000 złotych na niezbędne, najpilniejsze wydatki. Musimy utworzyć osobne konto, aby można było w sposób przejrzysty prowadzić operacje księgowe związane ze ścieżką rowerową. Zarząd TMZZ musi w tej sprawie podjąć stosowną uchwałę. Ale to już będzie nowy zarząd. 15 lutego odbędzie się zebranie sprawozdawczo wyborcze.

MP: Co kryje się pod pojęciem „profesjonalna ścieżka rowerowa"?

AB: Profesjonalna ścieżka posiada szerokość co najmniej 2,5 m, utwardzoną asfaltową nawierzchnię i nie ma kolizji z drogami.

MP: Czy uda się uniknąć kolizji z drogami?

AB: To jeden z problemów. Ziemia Złotoryjska jest atrakcyjna: kręte, wąskie drogi, rzeki, góry. Jak uniknąć kolizji? Powie ktoś: najlepiej poprowadzić ścieżkę gdzieś tam, prostą drogą. Ale czy to najlepiej? Właśnie ścieżka powinna być sama w sobie atrakcyjna i prowadzić taką trasą, aby chciało się nią jechać i na nią wracać. Mamy nadzieję, że na tę ścieżkę będą przyjeżdżali sportowcy narciarze, biegacze z kraju i zza granicy i będą jeździli na nartorolkach, na łyżworolkach. I właśnie dla dobrego treningu sportowiec powinien mieć bezkolizyjną trasę, z dobrą, równą nawierzchnią.

MP: Co będziemy mieli z wykonanej ścieżki?

AB: Efekty będą różne. Przede wszystkim sami chętnie wsiądziemy na rower, aby bezpiecznie „zaliczyć" kawałek trasy. Staniemy się atrakcyjnym miejscem wycieczek, treningów i wypraw rowerowych dla turystów krajowych i zagranicznych. Na Ziemi Złotoryjskiej istnieje już kilkaset kilometrów tras i szlaków rowerowych wybudowanych przez władze gminne naszego powiatu. I chwała im za to! A jeśli każdy turysta zostawi u nas po tygodniowym pobycie 500 czy 1 000 złotych, a przyjedzie ich 1 000, a kiedyś 10 000 to będzie właśnie wymierny efekt naszej wspólnej pracy.

MP: Czy to już wszystko?

AB: Nie, nie wszystko! Bo później ci rowerzyści przyjdą do Burmistrza miasta i zapytają go czy mogliby wybudować tutaj właśnie zakład, bo tutaj właśnie im się podoba.

MP: Czy to marzenia?

AB: Nie, to nie marzenia, to ekonomiczne prawidłowości. A jeśli już to słowa znanej i lubianej piosenki:

„ Tu na razie jest ściernisko
ale będzie San Francisco,
a tam, gdzie to kretowisko,
będzie stał nasz bank"

Rozmawiała Magdalena Przydryga

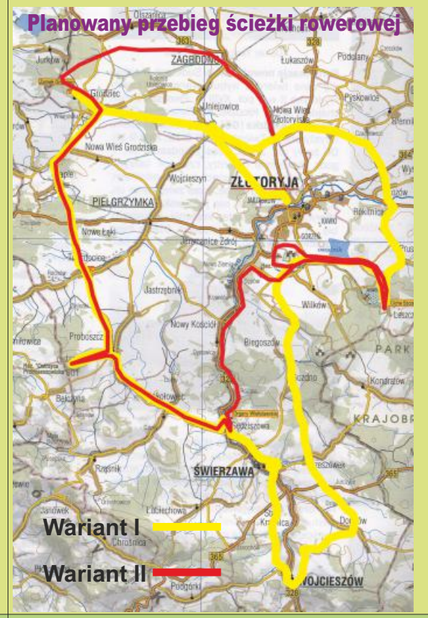

Do uczestników spotkania dotyczącego budowy ścieżki rowerowej

Informujemy uprzejmie, że w dniu 6 lutego 2007 roku odbyło się spotkanie, na którym zaprezentowano koncepcję budowy profesjonalnej ścieżki rowerowej. Ścieżka składałaby się z dwóch pętli: małej o długości ok. 3,5 km, okalającej Wilczą Górę i część Złotoryi, dużej o długości ok. 60 km, łączącej trzy siostry bazaltowe: Wilczą Górę, Grodziec i Ostrzycę.

Góry bazaltowe ukazują trzy różne możliwości zagospodarowania i wykorzystania złóż gór bazaltu: Wilcza Góra zbudowana kopalnia i wyeksploatowane złoże; Grodziec zbudowany zamek obronny; Ostrzyca nienaruszone złoże bazaltu.

Trasa ścieżki powinna prowadzić w miarę możliwości przez najpiękniejsze tereny Ziemi Złotoryjskiej, obok zabytków, istniejących już ścieżek dydaktyczno przyrodniczych, ładnych miejsc widokowych, np. Kruczych Skałek, Wielisławki itp.

Ścieżka miałaby charakter historyczny, przyrodniczy, geologiczny i turystyczno rekreacyjny.

W spotkaniu, w którym uczestniczyły 32, osoby wzięli udział przedstawiciele administracji gminnych i samorządowych, przedsiębiorcy, dyrektorzy zakładów, szkół, znawcy turystyki i regionu. Był również obecny Starosta Złotoryjski Pan Ryszard Raszkiewicz. Uczestnicy spotkania jednogłośnie pozytywnie ocenili zamysł budowy ścieżki. Aktualnie istnieje możliwość uzyskania dofinansowania ze środków UE oraz wykorzystania bogactw naturalnych występujących na naszym terenie, a także doświadczeń lokalnej społeczności.

Wybudowana ścieżka rowerowa miałaby wyraźnie poprawić ofertę turystyczną i biznesową Ziemi Złotoryjskiej.

Powołana została 14 osobowa grupa inicjatywna budowy ścieżki rowerowej.

Uprzejmie prosimy o potwierdzenie chęci udziału w programie budowy ścieżki. Prosimy o wytypowanie kompetentnych przedstawicieli gminy (z podaniem ich numerów telefonów) w celu wspólnego wyznaczenia miejsc, obok których w miarę możliwości miałaby przebiegać ścieżka rowerowa.

Prawdopodobny termin spotkania 16 lutego Wimieniu grupy inicjatywnej

Aleksander Borys

Bójka w karczmie

Przez małe okienka wpadało już jedynie mizerne blade światło, które jeszcze powstrzymywało pulchnego barmana przed zapaleniem stojących na stołach łojówek i kaganków. Jego świecące tłuste małe oczka wpatrywały się z niepokojem w mroczną sylwetkę wierchu owianego mgłą i tajemnicą, na którym to podobno, jak ludzie gadają, znajdują się wielkie bogactwa, ale także zło i śmiertelne niebezpieczeństwo. Ludzie często wypytywali go o tę południową część Złotoryi porośniętą dębowym lasem, z jednym tylko mrocznym wzniesieniem, na którym w każdą księżycową noc zbierają się wilki, odśpiewując swoje... coś tam swoje. On jednak milczał, nie chciał ani słowem wspominać o tym miejscu, nie dbał o to. Dbał jedynie o swoją małą piwnicę z widokiem na południe i jej dobrą reputację. Dzisiejszy wieczór zapowiadał się spokojnie; kilku gości popijających wino, prawdopodobnie przejezdni. Oraz kilku miejscowych, którzy są w winiarni prawie zawsze z powodu, bez powodu, chyba tylko żeby w niej być i towarzyszyć gospodarzowi. Hans, bo tak go zwali, stanął za barem i, z wrodzoną już wieloma latami pracy rutyną, wycierał kielichy, też nie wiadomo w jakim celu, ale prawdopodobnie z braku innego zajęcia. Wszystkie świece stojące na dębowych stołach zostały już zapalone, tworząc łunę światła balansującego w całym pomieszczeniu. Na zewnątrz zapadł już całkowity zmrok. Wiatr huczał tylko nieprzyjemnie, zamiatając z ziemi dębowe liście, które co jakiś czas uderzały w okna karczmy. Noc miała być spokojna i długa, tak przynajmniej się zapowiadała.

Było już naprawdę późno, a w karczmie siedziało jakieś dwadzieścia osób, co nie było zwyczajnym jak na to miejsce i porę. Przybyli przejezdni grajkowie, którzy przepitymi już nieco głosami „umilali" innym wieczór. Jakichś dwoje zamożnych, bogato ubranych rozmawiało z barmanem, popijając drogie wino, ciągle próbując utrzymać dystans i powagę. Pojawiło się także trzech młodzieńców uczniów miejscowego gimnazjum Trozendorfa, którzy usiedli przy stoliku w najdalszym kącie, jeśli o takim w ogóle może być mowa. Byli jednak spokojni, choć Hans miał co do nich szczególne wątpliwości. Tak jak w żaden wieczór, tak i w dzisiejszy nie mogło zabraknąć bojaźliwych, tych, co „oni to nie, ale sąsiad mówił, że widział..." dwóch gości o wielkich oczach gadających o wszystkim, co się tylko w mieście mogło wydarzyć najgorszego.

Atmosfera była raczej przyjazna, wypełniona śmiechem i unoszącą się wonią wina, przypraw i jedzenia. Po jakimś czasie gospodarzowi miejskiej piwnicy przypomniał sobie, że pojutrze Rada Miasta organizuje turniej związany z poszukiwaniem rzekomych bogactw znajdujących się na południowym wierchu, zwanym też „Wilczą

Górą". Stąd też w winiarni o tej porze zebrało się tylu przyjezdnych. Doszły do niego także słuchy o bardzo wysokiej nagrodzie dla zwycięzcy turnieju, wielu honorach i tym podobnych rzeczach..

Było już grubo po pierwszej czy drugiej w nocy, dokładnie nikt nie wiedział, atmosfera balowania nieco wywichnęła, lecz nikt nie miał zamiaru wcześniej, niż dopiero nad ranem, opuścić przyjemnej ciepłej winiarni i gościnnego Hansa. Sam gospodarz był z tego faktu zadowolony, ponieważ wiązało się to z niezłym zarobkiem, choć jego zmęczenie okazywało się już na każdej części jego ciała i twarzy. Znużony siedział przy barze z dużym kielichem czerwonego wina.

Krótkie skrzypnięcie wejściowych drzwi zostało szybko dostrzeżone przez Hansa. Do pomieszczenia wszedł wysoki postawny mężczyzna. Bez żadnego zainteresowania ze strony znajdujących się w piwnicy ludzi podszedł do barmana i zaczął o coś wypytywać. Jego głos drżał, był niespokojny, zachrypnięty, a on sam niecierpliwy i podekscytowany. Hans nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, nie chciał odpowiadać na tak „trudne" stawiane mu pytania, o takiej nieodpowiedniej porze. Jak się niebawem okazało, człowiek ten, wyraźnie zdradzający spożycie zbyt dużej ilości wina, był stróżem miejskim . To, co stało się chwilę później, wywołało wielkie poruszenie wśród sączących sennie ostatnie krople wina gości. Ku zdziwieniu wszystkich pijany mężczyzna ruszył ociężale przed siebie, w kierunku trzech scholarów. Jego powolne ociężałe ruchy nie zdradzały żadnych złych intencji. Mężczyzna podszedł do gimnazjalistów, pochylił się, opierając o ławę i spojrzał złowrogo przekrwionymi oczami na zaskoczonych młodzieńców.W winiarni na moment ucichło. Słychać było tylko szum dębów zmagających się z coraz to silniejszym wiatrem. Wszyscy przebywający w piwnicy goście bacznie przyglądali się pijanemu stróżowi. Ten zaś przez moment chwiał się, po czym sięgnął po kielich z winem jednego ze scholarów, uniósł go w kierunku swoich spękanych ust, przechylił i wypił do dna cały trunek. W jednej chwili dwóch gimnazjalistów poderwało się z ławy i z dzikim wrzaskiem natarło na niego. Wszyscy wstali i zaczęli się rozglądać, krzyczeć coś do siebie. Wywołało to ogólne poruszenie. Nagle, jak z bicza strzelił, trzeci ze scholarów doskoczył do pijanego stróża i w odruchu złości zdzielił nieproszonego gościa dzbankiem po głowie. Zupełnie nieprzygotowany na atak mężczyzna stanął na środku piwnicy, dysząc złowrogo. Na jego twarzy malował się gniew pomieszany z upokorzeniem, a serce biło mu niczym młot w podkowę. Zaniemówił, lecz nie na długo. Potok krótkich, szybkich i średnio wyraźnych słów wypłynął z jego ust, a ręka wysunęła się do przodu, w kierunku młodzieńców, pokazując nań palcem. Niestety, to nie wróżyło nic dobrego, o czym mieli się przekonać już niebawem trzej uczniowie z gimnazjum Trozendorfa.

Tekst: Jacek Chmielowski
Rysunek: Adam Stanowski
kl.3 Gimnazjum nr 2, Złotoryja

Zdarzyło się w lutym

1453 - zatrzymał się na krótko w mieście słynny kaznodzieja franciszkański Jan Kapistran.
1490 - w Trójcy koło Zgorzelca urodził się Valentin Trozendorf, późniejszy rektor sławnego gimnazjum w Złotoryi.
1616 r. - odwiedził Złotoryję książę legnicki Jerzy Rudolf a w **1633** i **1642** r., podczas wojny trzydziestoletniej przemaszerowały przez miasto liczne oddziały wojskowe, łupiąc niemiłosiernie mieszkańców.
1678 - za kradzież przedmiotów z kościoła stracono trzech złoczyńców: jednego przez ścięcie głowy mieczem, drugiego przez łamanie kołem i ścięcie głowy a trzeciego przywiązano do kolumny i żywcem spalono.
1682 - zmarł burmistrz Christoph Steinberg, którego nagrobek(z popiersiem) znajduje się w kościele Mariackim.
1698 - stracono dziewczynę, która zamordowała swoje dziecko.
1709 - kościół NNMP wrócił do protestantów(1704-1709 był katolicki). **1741** - zawierucha i śnieżyca zniszczyły część dachu tego kościoła.
1813 - podczas wojen napoleońskich działały w mieście lazarety.
1820 - pierwsze przedstawienie teatru amatorskiego. **1883** spaliło się schronisko „Wilcze" na Wilczej Górze(wkrótce zostało odbudowane i działało do 1945 r.).
1945 - wojska radzieckie zajęły Złotoryję.
1946 - wybuchł najprawdopodobniej pierwszy pożar po zakończeniu wojny. Żołnierze radzieccy podpalili piętrową kamienicę w Złotoryi.
1957 - w Powiatowym Domu Kultury uruchomiono kawiarnię.
1963 - zarejestrowano Towarzystwo Miłośników Złotoryi(działało bardzo krótko).
1968 - wmurowano akt erekcyjny pod pomnik Wojska Polskiego przy ówczesnym pl. Bellojanisa (dziś Lotników Polskich).
1969 - miasto objęło patronat nad załogą statku rybackiego „Kaczawa".
1974 - wyremontowano budynek „Katowni", urządzając w nim muzeum.
1980 - wojewoda legnicki powołał Zespół Ekspertów do Spraw Ratowania Centrum Miasta Złotoryi.
1982 - powstał TKKF „Asklepios" przy Spółdzielni Mieszkaniowej.
1992 - zakończył się proces funkcjonariuszy SB, którzy w maju 1984 r. podpalili w Złotoryi samochód arcybiskupa wrocławskiego Henryka Gulbinowicza: tutejszy Sąd Rejonowy umorzył postępowanie karne, powołując się na amnestię z 1984 r.
1992 - ukazał się przewodnik „Złotoryja i okolice", autorstwa R. Gorzkowskiego i K. Maciejaka, wydany przez TMZZ. Było to pierwsze powojenne opracowanie tego rodzaju. W tym samym roku uruchomiono całodzienny Klub Seniora.
1995 - Ks. Wiesław Walendziak został wybrany „Złotoryjaninem Roku 1994", rok później Stanisław Bąk został „Złotoryjaninem Roku 1995" a w **2000** Danuta Sosa „Złotoryjaninem Roku 1999".
1996 - powstało Stowarzyszenie Inicjatyw Ziemi Złotoryjskiej(od jakiegoś czasu nie wykazuje oznak życia).
1998 - nastąpiło otwarcie nowej siedziby Rejonowego Urzędu Pracy przy al. Miłej. W tym samym roku powstała Młodzieżowa Rada Miejska.

(gar)

Historia jednej fotografii

Ostatnia publikacja z cyklu „Historia jednej fotografii" spotkała się z odzewem ze strony czytelników. Na zdjęciu upamiętniającym Konkurs Fryzjerski rozpoznała się p. Teofila Wieze, która uzupełniła nasze skąpe informacje swoją opowieścią.

Był to rok 1962. Pani Wieze, wówczas Czasławska, jako 22-letnia panna była stałą klientką zakładu fryzjerskiego pani Piątkowskiej (zakład mieścił się przy ulicy Solnej w Złotoryi). Włosami pani Teofilii zajmowała się zatrudniona tam fryzjerka - pani Kicińska. To właśnie ona poprosiła swoją klientkę o udział w Konkursie Fryzjerskim w charakterze modelki. W tej rywalizacji brało udział 15 uczestniczek, ale to właśnie p. Kicińska wraz ze swoją modelką zdobyły I nagrodę. Fryzjerka w dowód uznania otrzymała zegar ścienny i dyplom, modelka podziękowania. Rok później Pani Teofila wyjechała do Zgorzelca i tym samym zakończyła swoją karierę modelki. Do Złotoryi powróciła w 1975 roku. Dziś ma 66 lat i wiedzie spokojne życie, nadal jednak szczególnie dba o swoją fryzurę.

Opowieści wysłuchały: Agata Arian i Aniela Pietruszczak

Dzięki zamieszczonemu poniżej zdjęciu możemy odtworzyć niezbyt odległe losy południowej pierzei złotoryjskiego Rynku. Jak widać, po pożarze w latach 60-tych, stały jeszcze jakiś czas dolne fragmenty ścian frontowych z zabytkowymi portalami(wejściami). Potem one również zostały rozebrane a w ich miejsce powstały budynki, mieszczące m.in. księgarnię.

Autorem ujęcia jest Marian Papież, który jako pierwszy po wojnie otworzył w mieście amatorski zakład fotograficzny. Na pierwszym planie uwiecznił troje młodych osób. Znane nam jest nazwisko dziewczyny, lecz nic nie wiemy o towarzyszących jej młodzieńcach. Liczymy na to, iż zgłoszą się oni do Redakcji, aby przekazać garść istotnych szczegółów, wzbogacających historię naszego miasta.

(gar)

warto przeczytać

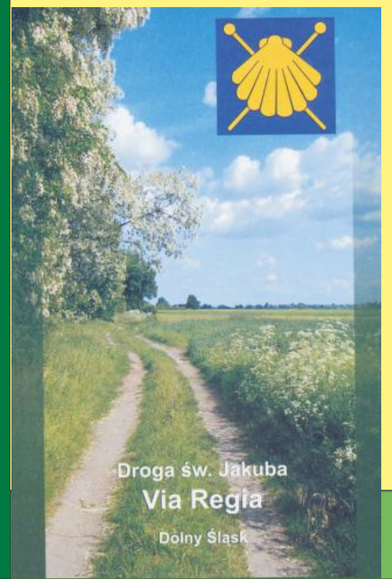

Królewską drogą przez Złotoryję

W 2006 r. nasze miasto znalazło się na trasie południowej odnogi Drogi św. Jakuba, biegnącej z Brzegu do Zgorzelca, a nazywanej też Via Regia Droga Królewska. Wyznaczają ją niebieskie muszle. Złotoryjskim odcinkiem opiekuje się TMZZ.

W bogato ilustrowanym *Przewodniku Pielgrzyma,* wydanym przez Fundację Wioski Franciszkańskiej w Janicach, zamieszczono nie tylko opis całego dolnośląskiego szlaku, ale również ciekawe informacje o św. Jakubie, istocie pielgrzymowania i ruchu pielgrzymkowym, praktyczne wskazówki dla pielgrzymów a nawet załączono legitymację pielgrzyma. Uprawnia ona m.in. do noclegu „co łaska" w Pałacyku nad zalewem w Złotoryi.

Wydawnictwo jest dostępne w bibliotece TMZZ oraz w Centrum Informacji Turystycznej. Zamawiać je można na interesującej stronie internetowej www. camino.net.pl.

(red)

Pomysły na 800-lecie *(cz. 1)*

W styczniowym numerze „Echa" opowiedzieliśmy, jak złotoryjanie świętowali w 1911 r. 700-lecie nadania praw miejskich. A jak mógłby wyglądać jubileusz miasta sto lat później? Mamy nadzieję, iż obchody 800-lecia koordynować będzie Komitet Organizacyjny, powołany przez Burmistrza. Przypomnijmy, iż TMZZ już w 2005 r. zgłosiło konieczność powstania takiego gremium ówczesnej Komisji Oświaty, Kultury i Kultury Fizycznej. Przyjęła ona wtedy odpowiedni wniosek i skierowała na ręce Burmistrza Ireneusza Żurawskiego.

Oto kilkanaście postulatów, zaproponowanych głównie przez członków TMZZ:

- Obchody winny mieć ogólnopolski i międzynarodowy charakter, z udziałem władz państwowych, wojewódzkich, powiatowych, środowisk naukowych, obecnych i byłych mieszkańców miasta itp.; będzie to święto całej Ziemi Złotoryjskiej.
- Wznowić „Dzieje Złotoryi" lub wydać obszerne opracowanie o powojennych dziejach miasta; opublikować „Słownik złotoryjan"
- Zorganizować sesję popularnonaukową, dotyczącą jubileuszu
- Odbudować bramę miejską przy Baszcie Kowalskiej
- Zaproponować Poczcie Polskiej emisję znaczka pocztowego z wizerunkiem miasta i okolicznościowym napisem
- Zaproponować mennicy państwowej wydanie okolicznościowej monety kolekcjonerskiej
- Zaproponować mieszkańcom miasta przygotowanie strojów historycznych, w których gremialnie wzięlibyśmy udział w korowodzie podczas obchodów jubileuszu
- Odrestaurować fontanny złotoryjskiego Rynku
- W obchody zaangażować uczniów wszystkich szkół, a szczególnie szkoły, która przyjmie imię księcia Henryka Brodatego
- W Rokitnicy, obok ruin zamku ks. Henryka Brodatego, ustawić fragmenty obwarowań, urządzić miejsce rekreacji, spotkań itp.
- Sprowadzić z Niemiec lub cerkwi w Królowym Moście koło Białegostoku jeden ze starych złotoryjskich dzwonów, pochodzących z kościoła Mariackiego ze Złotoryi
- Zaprosić(nie tylko w 1211 r.) stacje TV z kraju i zagranicy, celem jeszcze liczniejszych audycji o Ziemi Złotoryjskiej

Roman Gorzkowski

KRONIKI ZŁOTORYJSKIE

OLAWS

„Zwyciężaj bez pychy, przegrywaj bez urazy”

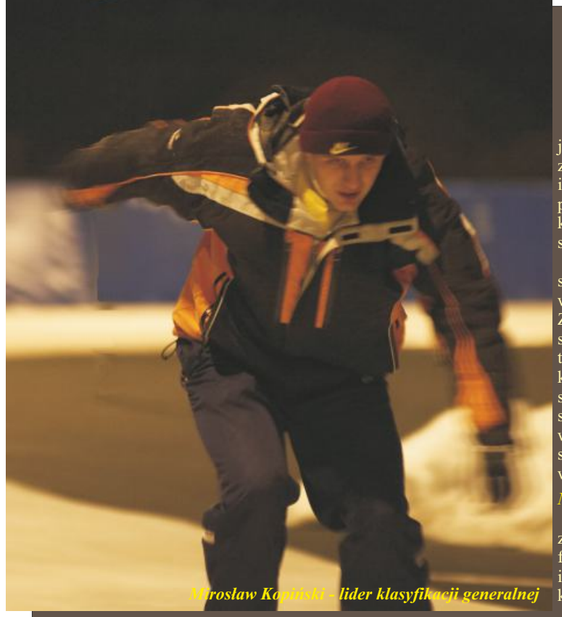

Mirosław Kaniuka - lider klasyfikacji generalnej

Pomysł...

Wszystko zaczęło się w listopadzie 2002 roku, kiedy to podczas porannej przebieżki w przepięknej scenerii jerzmanickiego lasku, dwóch pracowników Zakładu Poprawczego - Piotr Kocyła i Henryk Florczak wpadło na pomysł, aby do ich aktywności ruchowej włączyć więcej osób i dołączyć czynnik rywalizacji sportowej. Według pomysłodawców tempo współczesnego świata skłania do poszukiwania wciąż nowych doznań i wrażeń, silniejszych i zdecydowanie różnych od przytłaczającej codzienności. Może właśnie, dlatego najlepszym sposobem na zrelaksowanie jest intensywny wysiłek.

Zaczynając od zera...

Historia jest krótka i jak z bajki: był pomysł, byli ludzie, były chęci, więc jest OLAWS. Początki działalności klubu nie należały do łatwych. Zaczynaliśmy praktycznie od zera. Nie mieliśmy wystarczającej ilości środków. Brak siedziby klubu stwarzał kolejny problem. Wtedy z pomocą przyszedł nam Jan Wolski - Dyrektor Zakładu Poprawczego z Jerzmanic Zdroju. To właśnie on wygospodarował dla nas środki w pierwszym roku istnienia klubu, które pozwoliły postawić pierwsze kroki, a także znalazł miejsce w swojej placówce na Naszą siedzibę. Na uwagę zasługuje fakt, ze klub nie dostaje żadnego dofinansowania i utrzymuje się wyłącznie ze składek członkowskich.

Liga OLAWS...

Głównym zadaniem Klubu jest organizacja i prowadzenie Otwartej Ligi Amatorów Wieloboju Sportowego. W tym roku systematycznie startuje 17 osób. Jest 16 konkurencji 12 najlepszych jest liczonych do klasyfikacji generalnej. Punktacja jest następująca, za pierwsze miejsce przyznajemy 25 punktów, za drugie 20, za trzecie 17, za czwarte 15 a za następne po jednym punkcie mniej. Czyli opłaca się być zawsze w pierwszej czwórce. To się sumuje i wybiera się mistrza sezonu. Przez pierwsze dwa lata mistrzem był mój kierownik - Henryk Florczak, który mimo swego wieku pokonał wszystkich młodych.

Naszą główną zasadą jest walka z samym sobą. Nie ma rywalizacji bezpośredniej np. w czasie biegu każdy biegnie sam. Zawodnicy prezentują różny poziom sprawności fizycznej, są w różnym wieku, taka bezpośrednia rywalizacja mogłaby kogoś zniechęcić, gdyby zobaczył, że inni są wyraźnie lepsi. Jeżeli zawodnik biegnie sam, nie zna czasów konkurentów, to walczy przede wszystkim ze sobą i ze swoimi słabościami. W ten sposób ludzie walczą do końca i dają z siebie wszystko.

Nasi zawodnicy...

To zwykli ludzie, w różnym wieku, o zróżnicowanym poziomie sprawności fizycznej, z innym rodzajem wykształcenia i rodzajem wykonywanej pracy. Ludzie, których na pierwszy „rzut oka” dużo różni a jednak też dużo łączy, jest to wspólna pasja, wspólne przeżywanie emocji i tzw. „uzależnienie od sportu”. Piękne jest to jak jeden wspiera drugiego, jak mobilizuje go do jeszcze większego wysiłku a nawet w przypadku porażki potrafią sobie, z uśmiechem na zmęczonej twarzy, podać rękę. Każdy z nich do OLAWS-a przygotowuje się sam. Kiedyś ludzie przychodzili i startowali z marszu, a teraz przez dwa lub trzy tygodnie przed każdą konkurencją, większość ostro trenuje chcąc poprawić swoje umiejętności w danej dyscyplinie, przez co wzrasta też poziom zawodów. Są też tacy, którzy przyjeżdżają zaliczyć tylko daną konkurencję, bo albo stawiają dopiero pierwsze kroki w danej dyscyplinie albo stwierdzili, że dana konkurencja im nie leży i nie czują się w niej dobrze. Ważne jest jednak, aby startować najlepiej we wszystkich konkurencjach i zajmować jak najwyższą lokatę zdobywając oczywiście jak najwyższą liczbę punktów. Dlatego trzeba też kalkulować, w czym się jest dobrym a w czym nie, i wypadałoby się podciągnąć i dodatkowo poświęcić więcej czasu na treningi. Efektem tego jest coraz większa wszechstronność naszych zawodników i coraz lepsze wyniki. Wiąże się to jednak z pewnym ryzykiem a dokładnie kontuzjami, które niestety i u nas się zdarzają. Niezbyt często, ale jednak. Najpoważniejszej doznał nasz kolega Jurek Gajda, który rok temu na łyżwach zwichnął staw skokowy i złamał kość, w wyniku czego na rok został wyeliminowany z uprawiania sportu, ale jak twierdzi już w przyszłym sezonie chce nam pokazać, że może jeszcze wygrywać. Ten sport to chyba nałóg? Ale to też sposób wyrażania uczuć, podczas ostatniej konkurencji łyżwiarstwo Tomasz Szpiter swoje zwycięstwo oficjalnie zadedykował ukochanej żonie Ani, która w tym czasie leżała w szpitalu.

Dzień dzisiejszy...

To już 4 udany sezon OLAWS-a. W tym czasie w naszej lidze wystartowało już 53 zawodników, którzy dzięki wytrwałości i uporowi w dążeniu do celu realizowali założone przez klub cele. Nasi zawodnicy rywalizują i odnoszą sukcesy nie tylko w zmaganiach Ligi, ale także w innych dyscyplinach sportowych organizowanych w kraju i poza granicami Polski, promując nasz Klub i nasze miasto Złotoryja. Brali udział w zawodach siłowych Strongmen w Bolesławcu, w Mistrzostwach Legnicy w Kometkę, w VII Maratonie Poznańskim, w Biegu Piastów, w zawodach w wyciskaniu sztangi leżąc w Zgorzelcu, Nowogrodźcu, Mirsku, Bogatyni, Bolesławcu, Legnicy. Mamy Andrzeja Kocyłę, trzykrotnego Mistrza Polski w Wyciskaniu Sztangi Leżąc. Zaznaczyliśmy swoją obecność za granicą startując w Pradze w Półmaratonie i Grand Prix na 10 km, gdzie nasz zawodnik Marcin Rabenda był najlepszym wśród Polaków. OLAWS to także organizator Otwartych Mistrzostw Złotoryi w Wyciskaniu Sztangi Leżąc.

Od lewej stoją: Henryk Florczak, Bartek Wrotny, Tomasz Wojtczak, Mirosław Wrotny, Marcin Rabenda, Mirosław Widziewicz, Robert Ostręga, Marcin Grochowski (III miejsce), Mirosław Kopiński (II miejsce), Kasjan Staronka, Tomasz Szpiter (I miejsce), Piotr Kocyła.

Umiemy się też bawić...

OLAWS to nie tylko sport i rywalizacja. Po każdej konkurencji spotykamy się, idziemy na pizzę i piwko, siadamy i rozmawiamy, analizujemy na wesoło przebieg zawodów, wyciągamy odpowiednie wnioski i propozycje na przyszłość. Podczas wyjazdów do innych miejscowości zawsze znajdujemy czas nie tylko na zmagania sportowe ale także czynną rekraację, poprzez zwiedzanie tych miast. Na koniec zaś sezonu w czerwcu robimy oficjalne wręczanie nagród, za każdym razem gdzie indziej. Byliśmy już w złotoryjskiej kawiarni na kortach, byliśmy w „Złotym Lesie”, byliśmy w ośrodku wczasowym w Kunicach. Przychodzimy z osobami towarzyszącymi. Jest trochę zabawy sportowej, później cześć oficjalna i impreza muzyczno-taneczna do białego rana. W tym roku chcemy się wybrać do Szklarskiej Poręby. Planujemy przyjechać, zaliczyć jakąś trasę w górach a potem wieczorem zrobić oficjalne wręczenie nagród. Na wakacje zaś chcemy zorganizować rowerową pielgrzymkę do Częstochowy. Potrafimy też pomagać sobie nawzajem w życiu osobistym i zawodowym.

Wszystko przed nami

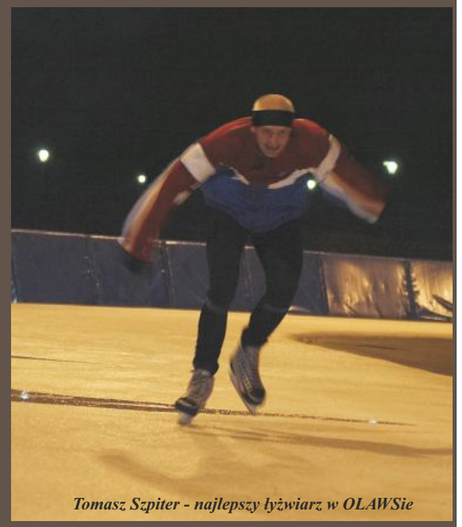

Tomasz Szpiter - najlepszy łyżwiarz w OLAWSie

Czas pokaże, co przyniesie kolejny sezon. Zarówno władze klubu jak i sami zawodnicy wierzą, że jeszcze najlepsze sukcesy są przed nami. Zarząd Klubu planuje zorganizować już wkrótce, jeszcze kilka cyklicznych masowych imprez sportowych w naszym mieście, rozszerzyć Ligę OLAWS o dzieci i młodzież, a także pomóc w założeniu nowej sekcji sportowej - triathlonu. W najbliższym Biegu Piastów wystartuje 4 olawsowiczów. W marcu i maju 2007 r. 18 osobowa reprezentacja Klubu będzie reprezentowała nasze miasto w Półmaratonie i Maratonie odbywającym się w Pradze, a w lipcu 5 osób w Pucharze Polski w Triathlonie.

Nasze oczekiwania

W Złotoryi jest duży potencjał do organizowania różnych imprez sportowych, trochę szkoda, że nie jest on w pełni wykorzystywany. OLAWS w miarę swoich możliwości chce tę lukę po części zapełnić.

Są pomysły, są ludzie, są chęci wystarczy, że nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Piotr Kocyła
www.reso.pl/olaws.htm
zdjęcia: Ryszard Masłowski